

Wiosna 2014

facebook 

NOWE
TECHNOLOGIE
W ZASIĘGU RĘKI

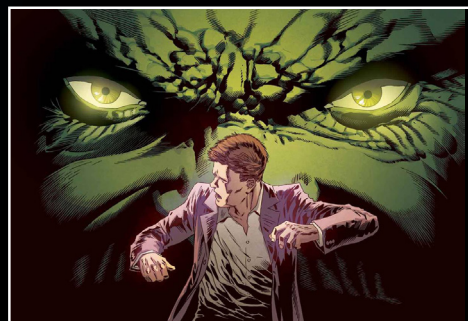
OBRAZ

DŹWIĘK

Relaks



THOR
Gromowładny



MARVEL KNIGHTS
HULK

Metallica w 3D
koncert jak żywy?

EFEKT MŚCICIELI

KAPITAN AMERYKA: ZIMOWY ŻOŁNIERZ

BOND – PRZEPIS NA SUPERBOHATERSKIE KINO





Wydawnictwo OiD
Warszawa
Grzegorz Mosieniak

Adres redakcji
ul. Bogatyńska 10A/58
01-461 Warszawa
redakcja@oid.info.pl

Redaktor naczelny
Grzegorz Mosieniak
tel.: 607 209 066
g.mosieniak@oid.info.pl

Zespół autorów
Paweł Baldwin
Jerzy Bojanowicz
Michał Czarnocki
Robert Dejtrowski
Janek Konieczny
Sergiusz Mitin
Grzegorz Mosieniak
Michał Talarek
Robert Urbański

Reklama i promocja
promocja@oid.info.pl

Dział graficzny
dtp@oid.info.pl

W wydaniu online zebraliśmy w jednym miejscu artykuły opublikowane w numerach 1-3 OiD w dziale Relaks, a więc te tematy bardziej rozrywkowe – gry, film i komiksy i mamy nadzieję, że lektura będzie tym bardziej zajmująca.

Przy tej okazji chcielibyśmy jednocześnie zarekomendować nowy tytuł, który pojawił się na rynku, a poświęcony jest superbohaterom, zarówno tym z kart komiksów, jak dużego i małego ekranu. Gorąco zatem zachęcamy do lektury relaksacyjnej OiD oraz wkroczenia w świat superbohaterski z „SuperHero Magazyn”.

red.

FILM

Felieton

**Efekt Mścicieli,
czyli bohater w BoxOffisie
i złote jaja w kalesonach** **4**

Reżyseria: Roman Polański **8**

Reżyseria: Ridley Scott **18**

**JAMES BOND
wzorcowa opowieść filmowa** **24**

**Trademark filmowy
Znasz to imię? Znasz ten numer?
Znaki rozpoznawcze Bonda** **28**

Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz **33**

Felieton

**Oszukać czas, czyli Niezniszczalni na tropie
tajemnicy wiecznej młodości** **38**

© WYDAWNICTWO OiD 2014

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do dokonywania ich skrótów i redagowania w przypadku publikacji, a także ich wykorzystania w Internecie oraz w innych mediach w ramach działań promocyjnych OiD oraz Wydawnictwa. Listy nadesłane do redakcji nieopatrzone wyraźnym zastrzeżeniem autora mogą być traktowane jako materiały do publikacji. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń, a Wydawca zastrzega sobie prawo do odmowy zamieszczenia treści sprzecznych z interesem Wydawnictwa lub linią programową OiD, a także prawem polskim. Wszystkie publikowane materiały na łamach OiD są chronione prawem autorskim. Ich kopiowanie, przedruk lub rozpowszechnianie w dowolnej formie wymagają pisemnej zgody Wydawcy.

FILM

THOR gromowładny
mitologiczny rodowód, komiksowy styl
i filmowa kariera 40

Felieton
GWIAZDY z recyklingu 50

KOMIKS

Recenzja
Mighty Avengers (2013) 52

Recenzja
The Superior Spider-Man: Darkest Hours 56

Recenzja
Marvel Knights: Hulk 60

GRY

World of Tanks
XBOX 360 Edition 64

Hearthstone: Heroes of Warcraft
Blizzard na rynku komputerowych karcianek 66

MUZYKA

Recenzja
Metallica - Through the Never 70

Felieton
Kradzione nie tuczy 74

RELAKS



Efekt Mścicieli

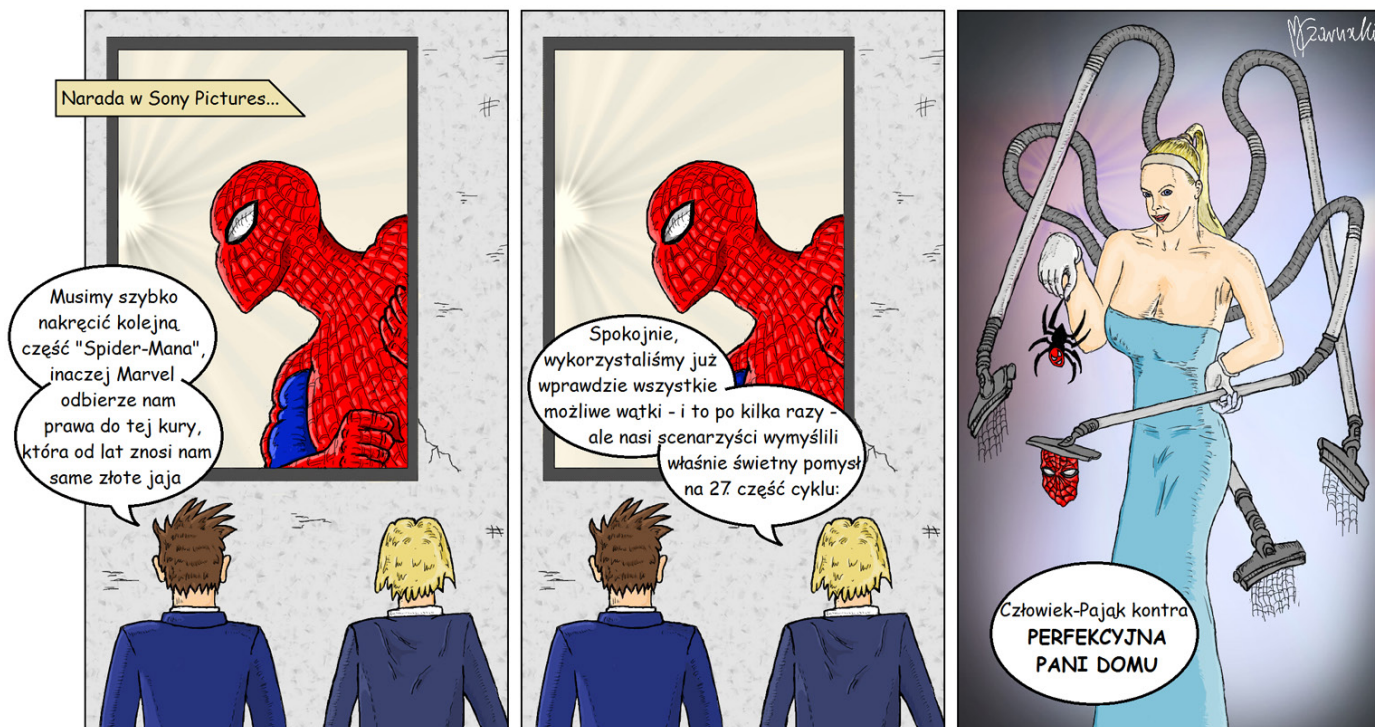
czyli bohaterterror w BoxOffisie i złote jaja w kalesonach

Michał Czarnocki

Superbohater to dziwaczny twór. Niby ma tę swoją efektowną moc, potrafi robić magiczne sztuczki, troszczy się o biednych i uciemionych, i w ogóle cały jest „super”, a jednak wciąż wzbudza w nas ambiwalentny stosunek do swojej osoby, stając się częstym obiektem drwin i niewybrednych żartów. Śmiejemy się z Supermana – z jego harcerskich ideałów, czerwonych gumowców, powiewającego na plecach kocyka i obcisłych slipek na piżamce. Szydźmy również z Batmana i Spider-Mana, pierwszemu wytykając rogatą czapkę i zabawki rodem z kina BDSM, drugiemu – niezdrową skłonność do uganiania się po owianych złą sławą dzielnicach w poszukiwaniu przysłowio- wego guza. Czego by jednak nie powiedzieć o potężnych trykociarzach, ich przekonaniach i niecodziennym anturażu, z pewnością nie powinniśmy ich lekceważyć. A już w szczególności nie można lekceważyć... ich obcisłych kalesonów. Okazuje się bowiem, że w tych obciacho-

wych rajtuzach – wbrew wszelkim stereotypom i bajkom „o wielkiej odpowiedzialności, która idzie w parze z wielką mocą” – mieszka już nie tylko odwaga, nadludzka siła i sprzeczna z kapitalistycznym kultem pieniądza charytatywna troska o słabszych i pokrzywdzonych przez los. Od jakiejś dekady mieszkają tam bowiem przede wszystkim prawdziwe, złote... jaja. A ponieważ nie zabija się kury, która złote jaja znosi, więc przez co najmniej dziesięć kolejnych lat jesteśmy skazani na prawdziwy wysyp fabularnych, tak wielko-, jak i małoekranowych tasiemców o przygodach rozmaitych superherosów o komiksowym rodowodzie, na punkcie których po sukcesie obrazu „The Avengers” kompletnie oszałało całe Hollywood.

Chociaż może niektórym trudno w to uwierzyć, superherosi z amerykańskich komiksów, których filmowe adaptacje całkowicie zdominowały w ostatnich latach światowy BoxOffice, mają już na karku siedemdziesiąt pięć lat.

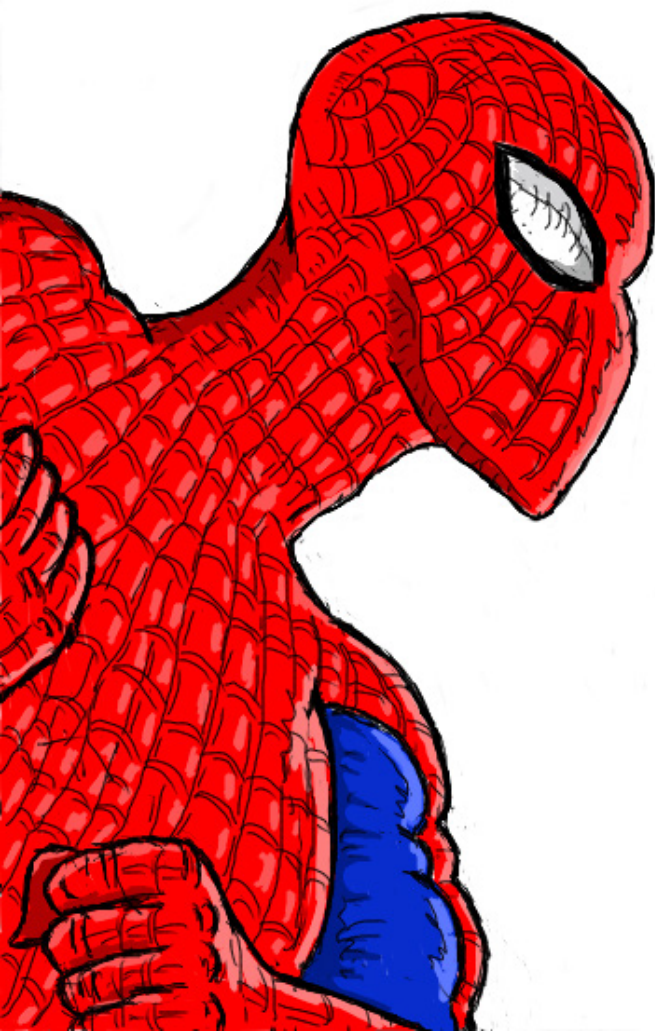


Ta niebywała wręcz długowieczność postaci rodem z komiksowego medium – bądź, co bądź w powszechnej świadomości postrzeganego przecież jako gorsza, bardziej infantylna forma sztuki – oraz oszałamiające, liczone w miliardach dolarów wyniki finansowe superbohaterskich ekranizacji z ostatniej dekady nie oznaczają jednak, że w świecie łopoczących peleryn zawsze trwała taka permanentna siełanka. Sam amerykański przemysł komiksowy miewał swoje wzloty i upadki, włącznie z poważnym kryzysem z lat dziewięćdziesiątych, kiedy sprzedaż kolorowych zeszytów za oceanem zaliczyła gwałtowny spadek, a i kino zniesmaczone infantylizmem niesławnych bat-sutków George’a Clooneya z obrazu „Batman i Robin” z 1997 r. przez dłuższy czas nie chciało otworzyć swoich podwojów przed czającą się do ataku na wielki ekran armią superherosów. Sytuacja uległa jednak zmianie wraz z początkiem obecnego millenium, kiedy technologia

osiągnęła poziom niezbędny do ożywienia amerykańskich bogów, a oddane we franczyzową dzierżawę największym studiom filmowym – 20th Century Fox i Sony Pictures – marki Marvela, „X-Men” i „Spider-Man”, rozbiły bank za sprawą filmowych trylogii Sama Raimiego i Bryana Singera, osiągając niebagatelny przychód o łącznej wysokości ponad 3,5 mld dolarów. Prawdziwa lawina ruszyła jednak dopiero wówczas, kiedy Dom pomysłów, którego ostateczny udział w zyskach z ekranizacji przygód mutantów i „Człowieka-pajaka” realizowanych przez zewnętrzne podmioty okazał się relatywnie niewielki, postanowił odzyskać pełną kontrolę nad swoją własnością i samodzielnie produkować obrazy o perypetiach swoich herosów, zrzucając z siebie jarzmo wymogu dzielenia się zyskami z innymi. Zrealizowany z rozmachem przez Marvel Studios filmowy cykl, na który złożyły się obrazy o przygodach Iron Mana, Hulka, Kapitana Ameryki i Thora

zwieńczone wspólnym, kasowym występem pod szyldem „The Avengers” – trzeciego najlepiej zarabiającego obrazu w historii kina – ostatecznie dał początek prawdziwej, superbohaterskiej pandemii w Hollywood. Od teraz już każde studio filmowe w ramach „efektu Mścicieli” zapragnęło mieć swoich własnych znoszących złote jaja Avengersów, a każdy aktor – ten początkujący, jak i ten podstarzały, który w świecie wielkiego ekranu osiągnął już wszystko, co było do osiągnięcia – postanowił przynajmniej raz w życiu przywdziać obcisły kostium superbohatera.

W odpowiedzi na rosnący popyt na superherosów i sukces serii Marvela uaktywnili się przede wszystkim starzy franczyzobiorcy

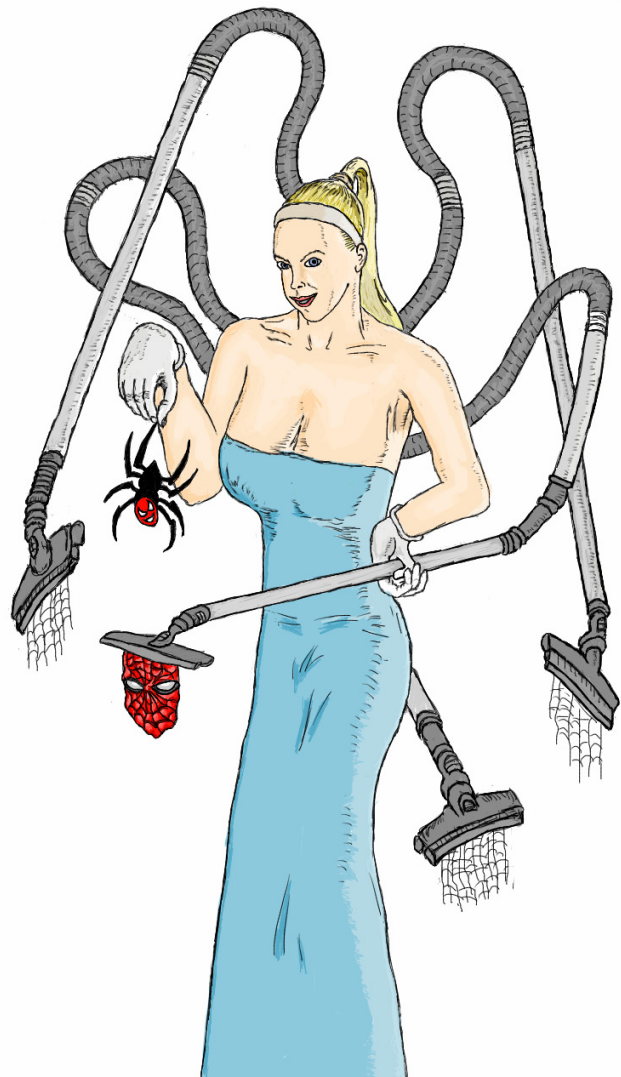


Marvela – 20th Century Fox i Sony Pictures posiadający prawa do ekranizacji przygód części bohaterów wydawnictwa, uniemożliwiając tym samym Domowi pomysłów wykorzystanie ich w ramach misternie konstruowanego od lat filmowego uniwersum. Dysponujące licencją na mutantów studio 20th Century Fox, nie chcąc utracić praw do uwielbianych przez publikę Wolverine’a i spółki ogłosiło już „mapę drogową” na najbliższe lata, skutkiem czego rok po premierze obrazu „Rosomak” witamy kolejną część perypetii dzieci atomu – „X-Men: Przeszłość, która nadejdzie”, a w fazę przedprodukcyjną wkracza już kolejna część cyklu: „X-Men: Apokalipsa”. Jakby tego było mało, studio postanowiło odświeżyć również drugą z dzierżawionych od Marvela marek – „Fantastyczną Czwórkę”, na potrzeby której skompletowano już nawet pełną obsadę, zapowiadając jednocześnie rychłą integrację „fantastycznych” z mutantami, a tym samym budowę drugiego, filmowego uniwersum Marvela, z prawnych przyczyn nie możliwego do skomunikowania z uniwersum Marvel Studios (dochodzi tu nawet do takich paradoksów, jak w przypadku komiksowej postaci Quicksilvera – Mściciela, a jednocześnie mutantą – który wprawdzie wystąpi w filmach obu producentów, tyle, że u Marvela wyłącznie jako Avenger, a w produkcjach o przygodach „X-Ludzi” jako mutant pozbawiony jakichkolwiek związków z grupą Mścicieli, która w świecie 20th Century Fox zwyczajnie nie ma prawa istnieć). Gruszek w popiele nie zasypia również Sony Pictures. Dzierży wprawdzie prawa jedynie do jednego, ale za to tego najważniejszego bohatera z portfolio Marvela – Spider-Mana. Producent postanowił bowiem wycisnąć z posiadanej franczyzy jak najwięcej i zapowiedział już pla-

ny realizacji trzeciej i czwartej części przygód pajęczaka oraz dwóch obrazów dodatkowych – „Venoma” i „Złowieszczej Szóstki” poświęconych solowym występom najbardziej znanych łotrów ze świata Spider-Mana. A to i tak jeszcze nie wszystko, bowiem sam Marvel oprócz kolejnych części „Avengers” i filmów o jeszcze nieznanym poza środowiskiem komiksowym bohaterach („Ant-Man”, „Dr Strange”) szykuje już kolejne niespodzianki – teatralne, objazdowe widowisko „Marvel Universe Live!” oraz wielką inwazję na mały ekran, gdzie wraz z platformą Netflix ma zamiar stworzyć kolejne, superbohaterskie uniwersum, w skład którego wejdą cztery różne serie o przygodach mniej znanych herosów wydawnictwa. Finalnie spotkają się oni w ramach serialu nr 5 opowiadającego o przygodach Mścicieli „małego ekranu” – grupy „The Defenders”.

To już nie trend, ani moda – to istna pandemia. W końcu oprócz Marvela i jego franczyzobiorców są jeszcze inni chętni pragnący wykorzystać koniunkturę na superherosów w kinie i telewizji. Mowa przede wszystkim o drugim, wielkim graczu komiksowego rynku – wydawnictwie DC, któremu już udało się zebrać małą grupkę herosów w ramach wyświetlanego od niedawna również w Polsce superbohaterskiego serialu „Arrow” (który – zgodnie ze słowami odtwórcy głównej roli, Stephena Amella – ma składać się co najmniej z sześciu dwudziestoodcinkowych serii!). Jakby tego było mało, już wkrótce DC, również na wielkim ekranie, zaprezentuje swoją własną wersję Mścicieli – „Amerykańską ligę Sprawiedliwości”, która zadebiutuje na ekranie w powstającym właśnie obrazie „Batman vs. Superman”. Do dochodowego, superbohaterskiego biznesu wkręcić się pragną zresztą nie tylko producenci, ale i sami

aktorzy, łącznie z nestorami kina pokroju Anthony’ego Hopkinsa („Thor”), Roberta Redforda („Kapitan Ameryka”) czy Michaela Douglasa („Ant-Man”), którym w obliczu sowitego wynagrodzenia nie przeszkadza nawet lekki, popcornowy charakter komiksowych ekranizacji. Sądząc po planowanej na najbliższe pięć lat ilości filmowych produkcji superbohaterskich nie ma jednak co się martwić – miejsca na ekranie z pewnością nie zabraknie dla nikogo. Pytanie tylko, czy nie zabraknie pomysłów na urozmaicone scenariusze, a same filmowe cykle o przygodach herosów nie przerodzą się w pewnym momencie w przydługie tasiemce rodem z Ameryki Południowej? ■



Reżyseria: Roman Polański

Michał Talarek



Roman Polański, Emmanuelle Seigner i Mathieu Amalric na planie filmu „Wenus w futrze”.
Dystrybucja Monolith Films.

Polański to światowej klasy reżyser, który płynnie porusza się między różnymi gatunkami, kręcąc filmy po polsku, francusku i po angielsku. Jego życie prywatne niestety zbyt często przesłania filmowe dokonania, wśród których jest parę arcydzieł. Niedawno skończył 80 lat, a jego najnowszy film – „Wenus w futrze” – to kolejna eksploracja drzemiących w ludziach mrocznych pragnień.

Początki talentu

Roman Polański urodził się jako Raymond Liebling w Paryżu, choć od najmłodszych lat mieszkał w Polsce. W czasie II wojny światowej trafił do żydowskiego getta, a później, kie-

dy ukrywał się na wsi, zmienił swoje nazwisko. Tragiczne doświadczenia z getta i śmierć matki w Auschwitz miały duży wpływ na kształtowanie się jego osobowości. Być może z tego powodu jego filmy oferują pesymistyczną wizję świata, a ich bohaterowie uwikłani są

w relacje dominacji i uległości. Jeszcze w czasie wojny zakochał się w kinie, a czytania uczył się, oglądając niemieckie filmy z napisami. Kiedy podrósł, jego ambicje artystyczne pchnęły go w kierunku liceum plastycznego. Jako obiecujący aktor trafił do radia, a stamtąd do ekipy Andrzeja Wajdy i przełomowego pokolenia tworzącego Polską Szkołę Filmową. Towarzyszył ekipie jako chłopiec na posyłki i z bliska obserwował, jak się robi kino. W następstwie zaczął studia na łódzkiej Filmówce, gdzie nakręcił etiudy zapowiadające pojawienie się artysty o nieprzeciętnej wyobraźni. Nie udało mu się zdobyć dyplomu szkoły, ale za to jego pełnometrażowy debiut należy do najgłośniejszych polskich filmów.

„Nóż w wodzie” to historia rywalizacji o dziewczynę pomiędzy mężczyznami reprezentującymi dwa pokolenia. Akcja rozgrywała się na ograniczonej przestrzeni jachtu, co później stało się znakiem rozpoznawczym Polańskiego. Scenariusz napisał w cztery noce razem z Jakubem Goldbergiem i Jerzym Skolimowskim. Odgrywanie na przemian wszystkich trzech ról w czasie pisania pomogło im stworzyć lepsze dialogi. Polański uparł się, że to on zagra głównego bohatera i podobno nawet rozebrał się do naga, by udowodnić, że jest wystarczająco atrakcyjny. Ostatecznie skończyło się na tym, że tylko dubbingował w tej roli Zygmunta Malanowicza, którego głos wydawał mu się zbyt dojrzały i mocny. Dominujące w scenariuszu napięcie seksualne i nieodwracalne zagrożenie kierowało uwagę widzów nie w stronę idei, lecz ludzkich pragnień, co odbiegało od kanonów ówczesnych polskich filmów. Oryginalna historia została źle odebrana przez krytyków, zarzucali jej brak wartości socjalistycznych i pochwałę konsumpcyjnego stylu życia.

Roman Polański o filmie „Wenus w futrze” w wywiadzie Anny Serdiukow dla Monolith Films. Cannes, maj 2013.

Od dawna myślałem o zrobieniu kameralnego filmu. „Rzeź” była filmem skromnym, ale jeszcze od czasu „Noża w wodzie” chodził mi po głowie pomysł, by zrealizować kino zawężone do dwójki bohaterów. Od dawna też chciałem zrobić film, który rozgrywałby się w przestrzeni teatru. Teatr to moje życie, moje dzieciństwo, początki bycia w zawodzie. Zaczynałem w teatrze, znam jego zapach tak dobrze, że w zasadzie przez cały czas mi towarzyszy. Pamiętam zapach kulis i garderoby w pierwszym teatrze, w którym grałem jako mały chłopiec. Znam teatr na wylot, zamykam oczy i chodzę wąskimi korytarzami, niemal natychmiast przenoszę się w czasie do Krakowa mojej młodości. Dlatego tak bardzo chciałem zrealizować „Wenus w futrze”. To hołd dla teatru, dla tego, z czego wyrosłem i co mnie zbudowało jako artystę. Wydaje mi się, że nie ma lepszego fundamentu niż teatr. Teatr mnie ochronił, to on pozwolił mi przetrwać wszystkie zawirowania w życiu. Ale „Wenus w futrze” to także hołd dla aktorek. Chciałem pokazać, że należy być sobą, należy się siebie nie bać. Nie rozumiem równouprawnienia, uważam zresztą, że nie istnieje. Ten zawód wymaga i poświęceń, i wyrzeczeń, sztuka potrafi zabrać wszystko i pozostawić cię z niczym. Trzeba wiedzieć, jak postępować, by ochronić siebie. Dlatego „Wenus w futrze” to coś więcej niż opowieść o walce pomiędzy mężczyzną a kobietą. To oczywiście historia o dominacji, ale też o walce pomiędzy życiem a sztuką, fikcją a prawdą, mądrością a głupotą, zuchwałością a odwagą. Całe nasze życie to pojedynek, trzeba znać swojego przeciwnika. To kameralny, skromny, subtelny film o najważniejszych aspektach życia. Ale wydaje mi się, że tylko w ten sposób – o sprawach ważnych i wielkich – można opowiadać.



Emmanuelle Seigner i Mathieu Amalric na planie filmu „Wenus w futrze”.
Dystrybucja Monolith Films.

Z powodu uniwersalnej treści i atrakcyjnego tematu jego debiut został jednak doceniony na Zachodzie, a kadr ukazał się nawet na okładce magazynu „Time”. Był to w końcu pierwszy polski film, który zdobył nominację do Oscara (ostatecznie przegrał rywalizację z „8½” Felliniego). Darryl F. Zanuck zaproponował zrobienie remake’u, w którym zagrałyby największe gwiazdy: Richard Burton, Elizabeth Taylor i Warren Beatty. Polański jednak nie widział sensu w kręceniu drugi raz tego samego – uważał, że to jak zlecić Van Goghowi przemalowanie „Słoneczników” na inne kwiaty. Nie widząc dla siebie miejsca w socjalistycznej rzeczywistości, wyjechał do Francji. W skromnych

warunkach – żyjąc niekiedy tylko o chlebie i occie w pokoju biurowym Gerarda Bracha, odtąd stałego współpracownika – rozpoczął pracę nad scenariuszem. Jeśli talent reżysera mierzyć jego drugim dziełem to zrealizowany z polotem „Wstręt” – wpisujący się idealnie w klimat epoki swingujących lat sześćdziesiątych – wywindował go błyskawicznie na europejskie salony.

Mistrzostwo gatunku

Polański swój pierwszy zagraniczny film zrealizował w Wielkiej Brytanii, gdzie trafił na zaproszenie Gene’a Gutowskiego. Jeszcze na pla-

nie „Wstręt” uczył się angielskiego i jedynie z Catherine Deneuve rozmawiał po francusku, nierzadko przerzucając się z nią wyzwiskami. Producentem było studio, które dotąd zajmowało się filmami dla dorosłych, a jemu zlecono napisanie horroru, który mógłby przysporzyć wytwórni nową widownię. Wraz z Gerardem Brachem w siedemnaście dni napisał historię kobiety, która popada w obłąd. Po pokazie filmu psychiatrzy zapytali go, w jaki sposób przygotował się do tak dokładnego studium schizofrenii paranoidalnej, na co ten odparł, że korzystał wyłącznie ze swojej wyobraźni. Psychologiczny thriller pełen wymyślnych ujęć z perspektywy głównej bohaterki znacznie przewyższył oczekiwania producentów, zdobywając Srebrnego Niedźwiedzia na festiwalu w Berlinie. „Wstręt” do dziś uchodzi za klasyk gatunku.

Jego drugi anglojęzyczny film – „Matnia” – zdobył w Berlinie już Złotego Niedźwiedzia i ugruntował pozycję Polańskiego jako oryginalnego i nowatorskiego twórcy. Historia inspirowana sztuką „Czekając na Godota” rozwijała motywy wyobcowania, tłumionej seksualności i grozy, które stały się jego znakiem rozpoznawczym. Nieco lżejsze ujęcie horroru reżyser zaproponował w swym pierwszym amerykańskim filmie „Nieustraszeni pogromcy wampirów”, gdzie nawet zagrał jedną z głównych ról. Olbrzymi budżet pozwolił mu wzbogacić szatę graficzną, a na planie poznał swą przyszłą żonę Sharon Tate. Parodia horrorów z wytwórni Hammer do dziś ma grono swych wielbicieli, a reżyser udowodnił, że potrafi stworzyć film o rozrywkowym potencjale (czemu nie zaszkodziła nawet znacznie lżejsza amerykańska wersja). Dobrze zrozumienie prawideł gatunku zaowocowało wkrótce nie-

zwykle udaną adaptacji bestsellerowej książki „Dziecko Rosemary”.

Najwybitniejsze dzieło Polańskiego udowodniło, że horror – dotąd kojarzony z produkcjami niskich lotów – może być też filmem o artystycznym potencjale. Dotykające tematyki okultystycznej i szatana „Dziecko Rosemary” zapoczątkowało również nowy nurt w kinie. Polański zaskoczył oczekiwania widzów, umiejętnie stopniując napięcie. Pierwszy akt filmu to niemal sielankowa opowieść o zwyczajnym małżeństwie, co tylko usypia czujność. Kiedy granica między snem a rzeczywistością się zamaże, tytułowa Rosemary urodzi dziecko Szatana. Film przekonywał, że wielkie zło może dziać się tuż obok nas. „Dziecko Rosemary” było wielkim hitem, zaś kontrowersyjna tematyka ściągnęła na debiutującego za oceanem reżysera zainteresowanie mediów. Pojawiła się pierwsza nominacja do Oscara w kategorii najlepszy scenariusz oraz opinia genialnego filmowca z Polski. Niestety brutalne morderstwo jego żony – w którym dopatrywano się kary za jego frywolne życie – było dla Hollywood końcem epoki Dzieci Kwiatów.

Ostatnim filmem z hollywoodzkiego okresu Polańskiego był kryminał „Chinatown”, który odświeżył formułę kina noir i zyskał miano jednego z najlepszych dzieł w historii kina. Doceniony oryginalny scenariusz Roberta Towne’a został przez Polańskiego solidnie zmodyfikowany. Przede wszystkim zmienił on porządek opowieści tak, by widzowie odkrywali tajemnice wraz z głównym bohaterem. Wątek łóżkowy został dodany po to, by współdzielona intymność między klientką a detektywem znacząco podniosła stawkę śledztwa. Z kolei tragiczne zakończenie miało sprawić, by film nie przepadł bez echa – „Chinatown”



Emmanuelle Seigner i Mathieu Amalric na planie filmu „Wenus w futrze”.
Dystrybucja Monolith Films.

miało być wyjątkowe. I było. Jedenaście nominacji do Oscara oraz nagroda za scenariusz zwiastowały szanse na interesujące projekty.

Polański wybrał jednak powrót do kina autorskiego i nakręcił we Francji „Lokatora”, gdzie sam zagrał niejakiego Trelkovskiego, emigranta zza wschodniej granicy. Film nawiązywał klimatem do „Wstrętu”, bo w końcu główny bohater również ulega paranojom swojego umysłu i ostatecznie się zabija. Zrządzeniem losu Francja miała odtąd stać się jego bazą wypadową – afera obyczajowa, której Polański konsekwencje ponosi do dzisiaj, sprawiła, że już nigdy więcej nie nakręcił filmu w Hollywood.

Przebłyśki geniuszu

Melodramat „Tess” był hołdem dla jego zmarłej żony, choć dopatrywano się w nim autoironicznego stosunku do jego problemów prawnych. Szczególnie, że Polański nawiązał romans z grającą tytułową rolę małą Nastassją Kinski. Stylistycznie film zachwycał, zachowując klasyczne dla twórcy fatalistyczne motywy nieuniknionego zła. „Tess” – wówczas najdroższy film kręcony we Francji – zdobył aż trzy Oscary, choć w kinach odniósł umiarkowany sukces. Gorszy los podzielił jego kolejny projekt. Produkcja „Piratów” była pieczołowicie przygotowywana przez parę lat, początko-

wo z Jackiem Nicholsonem jako gwiazdą. Miało to być przygodowe kino, jakiego dotąd nie było, lecz zabrakło przede wszystkim przygody. Faktycznie produkcja okazała się w owym czasie największą katastrofą, a budżet w trakcie zdjęć rozrósł się niemal trzykrotnie. Zbudowana olbrzymim kosztem pełnowymiarowa replika pirackiego statku do dzisiaj stoi w porcie w Genui, próbując zwrócić zainwestowane pieniądze.

Ratunkiem dla kariery miał być pełen scen akcji thriller „Frantic”, który wciąż budzi żywe emocje. Polański przypomniał, że skromnymi środkami stylistycznymi potrafi budować napięcie nie gorzej od samego Hitchcocka. Jednak film pomimo obsadzenia Harrisona Forda i pozytywnych recenzji nie był w stanie zarobić na swój budżet, co ponownie pchnęło reżysera w kierunku mrocznych klimatów i kina autorskiego. Pozytywnym aspektem pracy przy „Franticu” było natomiast odkrycie dla kina Emmanuelle Seigner, która została jego żoną oraz etatową aktorką.

Seigner zagrała w jego kolejnym filmie, gdzie partnerowali jej Peter Coyote, Kristin Scott-Thomas oraz młody Hugh Grant. „Gorzkie gody” ze względu na swą tematykę miały ograniczony zasięg, ale erotyczny thriller o mrocznych pożądaniach wydobyl to, co w fascynacjach reżysera było najlepsze. „Śmierć i dziewczyna” to natomiast adaptacja dramatu o torturowanej w czasie wojny dziewczynie, która po latach spotyka swego oprawcę. Poczucie winy z jednej strony i chęć zemsty z drugiej odkopuje bolesne wspomnienia obu postaci. Akcja filmu rozgrywała się znów na ograniczonej przestrzeni, a Sigourney Weaver i Ben Kingsley dali świetny popis gry aktorskiej.

Polański w „Dziwiątach wrotach” na krótko powrócił do kina rozrywkowego, gdzie Johnny Depp przy pomocy Emmanuelle Seigner próbuje odkryć tajemnicę średniowiecznej księgi i wskresić Szatana. Choć sam twórca nie wierzy w ciemne moce, chciał pobawić się raz jeszcze ze schematami gatunku. Sprawnie zrealizowany thriller z odwołaniami do kina noir nie zachwyił tak, jak „Dziecko Rosemary”, ale był całkiem sporym sukcesem kasowym.

Jak dotąd najbardziej cenionym dziełem reżysera jest adaptacja autobiografii Władysława Szpilmana, którą nagrodzono Złotą Palmą oraz Oscarem dla najlepszego reżysera. „Pianista” dotyka żydowskiej eksterminacji podczas II wojny światowej – doświadczeń, od których Polański przez lata starał się odcinać. Realizowana w Polsce produkcja była powrotem reżysera do swoich filmowych korzeni i odnowieniem współpracy z polskimi filmowcami. Poza tym odsłonięcie swojej wrażliwszej strony i poruszenie ważnego dla Polaków tematu zyskało mu sympatię tych, którzy uważali go dotąd za ekscentrycznego kosmopolitę. Dla niektórych pozostał jednak wciąż persona non grata, co zniechęciło go do odbioru nagrody za całokształt twórczości na gdyńskim festiwalu.

Kontrowersje i uroki sławy

Jego prywatne życie obfitowało w liczne skandale, a dramatyczne koleje losu sprawiają, że trudno jednostronnie ocenić, jakie miały one wpływ na twórczość. On sam w autobiografii pisał, że już od dzieciństwa fantazja myliła mu się z rzeczywistością. Jednak w wywiadach zaprzeczał, jakoby geneza jego kolejnych filmów korespondowała z jego bieżącymi doświadczeniami. Po „Makbecie”

chciał odpocząć od dekoracji i kostiumów, więc nakręcił erotyczną komedię „Co?”. Z kolei po fantazyjnych „Dziewiątych wrotach” nadszała go ochota na poważne kino pełne emocji i stąd „Pianista”.

Trudno jednak nie dostrzec pewnych współzależności. „Makbet” i scena brutalnego zabójstwa pełnego krwi przywołuje na myśl masakrę dokonaną przez bandę Charlesa Mansona na jego ciężarnej żonie i przyjaciółach. Brutalne uwiedzenie nieletniej bohaterki filmu „Tess” może być odebrane jako szyderczy stosunek do gwałtu na nieletniej – sprawy, która do dziś dręczy Polańskiego. Jego areszt domowy w Szwajcarii przypadkowo zbiegł się z pracami nad „Autorem widmo”, filmem o wyizolowanym pisarzu, który ma stworzyć autobiografię brytyjskiego premiera. „Pianista” odnosił się do jego najwcześniejszych wspomnień z okresu wojny, zaś najnowszy film „Wenus w futrze” dotyczy obsesyjnej relacji reżysera z aktorką. Role te zagrali jego żona Emmanuelle Seigner oraz łudząco podobny do Polańskiego Matthieu Amalric.

Motywy takie, jak zło, Szatan, alienacja czy dominacja są głównym tematem większości jego dzieł. Sam Polański swe życie traktuje jednak z dystansem. Po raz pierwszy opisał je w autobiografii wydanej w połowie lat osiemdziesiątych (pisanej – podobnie jak w filmie „Autor widmo” – przy pomocy innych pisarzy). W czasie aresztu w Zurichu udzielił bardzo osobistego wywiadu-rzeki, który stał się podstawą filmu „Moje życie” prezentowanego między innymi na festiwalu w Cannes. Jego obecność na ekranie nie powinna dziwić. Oprócz gry we własnych filmach należy też pamiętać, że artysta nadal bywa aktorem w filmach innych reżyserów. Zagrał między innymi u boku Gerarda

Depardieu w „Czystej formalności”, pojawił się też w komedii „Godziny szczytu 3” oraz w roli podstarzałego playboya jako Papkin w „Zemście” Wajdy.

Jego biografia pełna sukcesów i tragedii wciąż intryguje. Sam uważa, że im wyższe są wzloty tym cięższy upadek. W ostatnim czasie powstały na jego temat aż trzy pełnometrażowe dokumenty oraz nieautoryzowany film biograficzny „Polański – bez cenzury”, do którego zapowiadany jest sequel. Głośny dokument Mariny Zenovich „Polański. Ścigany i pożądanym” odświeżył nierozwiązaną kwestię domniemanego gwałtu i przyczynił się – zdaniem reżysera – do niemal rocznego aresztu przed paroma laty. Film rzucał jednak nowe światło na osobę sędziego, który próbował zbudować karierę na głośnej sprawie. Jej ofiara – Samanta Geimer – niedawno napisała książkę, gdzie opisała piekło, które przez wiele lat serwowała jej media.

Warsztat dyktatora

Jako reżyser Polański jest perfekcjonistą. Do jego ulubionych powiedzonek należy: „Jest świetnie, robimy jeszcze jeden dubel”. Początki jego twórczości w socjalistycznej rzeczywistości przyzwyczyły go do artystycznego rozpasań. Budżet nie był co prawda nieograniczony, ale celem polskich produkcji nie był też zysk finansowy. Stąd filmowcy mieli możliwość podejmowania prób twórczych bez zważania na koszty. To sprawiło, że Polański przez całą karierę nie zważał na budżet i czas trwania zdjęć, doprowadzając czasem do finansowych katastrof, jak w przypadku feralnych „Piratów”. Powodowało to wiele zatargów z producentami, ale jego pretensje zawsze miały uzasadnienie

wynikające z dbania o detale. Na przykład do „Makbeta” polecił przygotować ręcznie szyte kostiumy, gdyż w średniowieczu nie znano maszyn do szycia.

Aktorzy również nie mają z nim łatwego życia, gdyż ma osobliwą metodę pracy. Uważa on, że aktorzy powinni złościć się na siebie, a na niego w szczególności. Gerard Brach wspominał, że w scenariuszu zaznaczał nawet fragmenty, w których należało wydobyć z aktorów irytację. Z jednej strony pozwala im na próbne stworzenie inscenizacji, tak by instynk-

townie robili na ekranie to, co czują. Dopiero po próbie dostosowuje pracę kamery do ich ruchów. Nie zadaje sobie jednak trudu analitycznych rozmów na temat gry – jego zdaniem mają grać tak długo, aż on im powie, że jest dobrze. Stąd wielokrotnie powtarzane ujęcia.

Niektórzy skarżyli się na psychiczne znęcanie się. Przekonał Catherine Deneuve do tego, żeby przez osiem tygodni zdjęć unikała mężczyzn, co miało pomóc jej stworzyć rolę sfrustrowanej kobiety, która odcina się od ludzi i popada w schizofrenię. Nie mogąc wydobyć

FILMY O FILMACH

Bohaterem filmu jest reżyser, który szuka aktorki do nowego spektaklu. Wszystkie dotychczasowe kandydatki nie posiadają – jego zdaniem – talentu. W ostatniej chwili pojawia się Vanda, która potrafi zmienić mężczyznę w niewolnika nie tylko na scenie, ale również w życiu. Akcja rozgrywa się w ograniczonej przestrzeni teatru, co tym bardziej zaostrza walkę o wpływy na scenie. Aktorka próbuje zdecydować o tym, jak ma być ustawione światło i co mają robić główni bohaterzy. Wątek autotematyczny to hołd Polańskiego dla sztuki, której moc potrafi odmienić ludzi. Komedia erotyczna twórcy „Noża w wodzie” i „Gorzkich godów” ukazuje niebezpieczną drogę od zauroczenia do obsesji.

Łudząco przypominający głównego bohatera filmu „Lokator” Mathieu Amalric gra w pewnym sensie alter ego Polańskiego. W końcu na ekranie gra również żona reżysera – Emmanuelle Seigner, która po raz kolejny kreuje niebezpieczną uwodzicielkę. Ten wątek podobieństwa jest dość nieprzypadkowy. Główny bohater również pochodzi z Krakowa (a nawet wspomina o molestowaniu dzieci!), a Polański w fabule obficie cytuje również własną twórczość filmową. Charakterystyczne dla niego mroczne wątki, a także podszyte pożądaniem oraz dominacją i uległością motywy głównych bohaterów dopełniają reszty. Prowokacyjne nawiązania do własnego życia przypominają mieszanie przez Woody’ego Allena filmowego wizerunku z życiem prywatnym. Na ile adaptacja spektaklu opartego na austriackiej opowieści zawiera wątki z życia Polańskiego, wie tylko on sam, ale widzowie otrzymują interesujący (bo niedopowiedziany) autoportret jednego z najwybitniejszych twórców kina.



„Wenus w futrze”, (2013).

Scenariusz i reżyseria:

Roman Polański.

Produkcja: Francja, Polska.

Występują: Emmanuelle Seigner
i Mathieu Amalric.

Zdjęcia: Paweł Edelman.

z Franceski Annis oczekiwanych emocji, zaszedł ją niespodziewanie w trakcie zdjęć i wypuścił jej przed nosem drażniący azotan amylu. Faye Dunaway wyrwał z głowy niesforny włos, który wciąż odciągał uwagę od kadru.

Często sam ustawia kamerę, gdyż interesuje go wyłącznie określony punkt widzenia – najczęściej perspektywa głównego bohatera. Jego pedantyczność w planowaniu scen dotyczy również dokładnego narysowania grymasów aktorów w danym ujęciu! Polański zwraca dużą uwagę na szczegóły, gdyż twierdzi, że ludzie pamiętają konkretne sceny, a nie całe filmy. Film składa się zatem ze scen-modułów, które muszą być pomyślane jako wbijająca się w pamięć samoistna całość. Publiczność wychodząc z kina, ma zapamiętać najlepsze momenty na długie lata. Jego stały operator Paweł Edelman twierdzi, że zawsze szukają najprostszyc rozwiązań w celu najlepszego opisanie danej sytuacji. Polański nie lubi stylizacyjnych ozdobników, gdyż woli skupić się na esencji sceny.

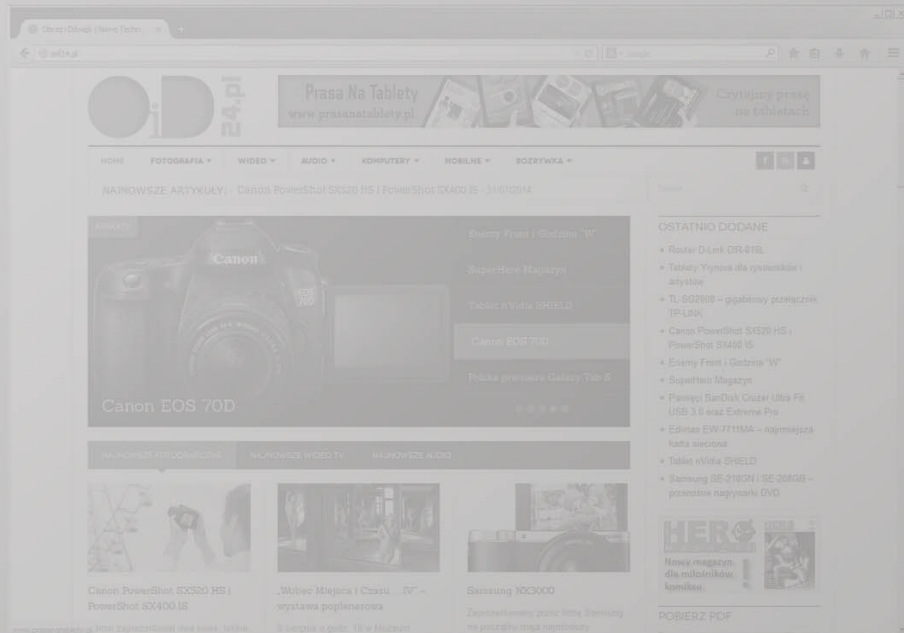
Kilkakrotnie brał udział w obiecujących projektach, z których mogły powstać arcydzieła. Tak było z „Mistrzem i Małgorzatą” – amerykańską adaptacją dzieła Bułhakowa, które podobno jest nieprzekładalne na ekran. Polański uważa, że jego scenariusz to najlepsza adaptacja, jakiej dotąd dokonał, jednak produkcja nie zyskała odpowiedniego budżetu. Z kolei megaprodukcja historyczna „Pompeje” upadła z powodu strajku aktorów, a filmu „Huragan” nie był w stanie rozpocząć z powodu aresztowania w USA i prasowej nagonki. Sam z kolei nie podjął się reżyserii „Listy Schindlera”, gdyż uznał temat za zbyt osobisty.

Wciąż aktywny jako filmowiec nic nie stracił ze swojego oryginalnego stylu, a kolejne

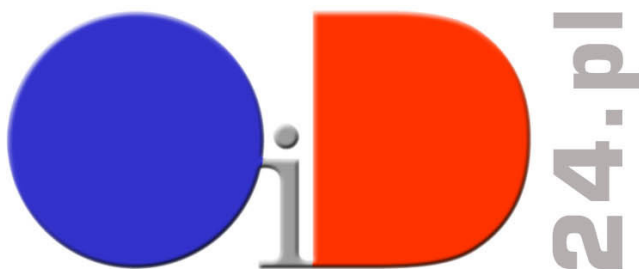
filmy potwierdzają jego kunszt. Dzięki „Pianiście” zdobył Oscara dla najlepszego reżysera, „Autor Widmo” zapewnił mu nagrodę dla najlepszego reżysera na festiwalu w Berlinie, a „Rzeź” nagrodę dla najlepszego filmu w Wenecji. Najnowszy film „Wenus w futrze” niedawno miał światową premierę na festiwalu w Cannes, a twórca już przygotowuje projekt zatytułowany „D” o francuskim Żydzie z XIX wieku, którego oskarżono o przekazanie tajnych informacji Niemcom. Jego miłość do kina znalazła wyraz w postaci etiudy do mozaikowego filmu „Kocham kino” z okazji jubileuszu festiwalu w Cannes. I choć na ekranie możemy podziwiać efekty jego pasji, to stojących za nimi motywacji raczej nie poznamy. Kiedy dziennik Liberation zapytał siedmiuset ludzi kina o powód, dla którego kręcą filmy, Polański krótko stwierdził: „Też się nad tym zastanawiam”. ■

WYBRANA FILMOGRAFIA

- „Nóż w wodzie” (1962)
- „Wstręt” (1965)
- „Matnia” (1966)
- „Nieustraszeni pogromcy wampirów” (1967)
- „Dziecko Rosemary” (1968)
- „Tragedia Makbeta” (1971)
- „Co?” (1972)
- „Chinatown” (1974)
- „Lokator” (1976)
- „Tess” (1979)
- „Piraci” (1986)
- „Frantic” (1988)
- „Gorzkie gody” (1992)
- „Śmierć i dziewczyna” (1994)
- „Dziewiąte wrota” (1999)
- „Pianista” (2002)
- „Oliver Twist” (2005)
- „Autor widmo” (2010)
- „Rzeź” (2011)
- „Wenus w futrze” (2013)



oid24.pl



NOWE TECHNOLOGIE W ZASIĘGU RĘKI

FELIETONY

TESTY

PORADY

WARSZTAT

RYNEK

TARGI

WYSTAWY

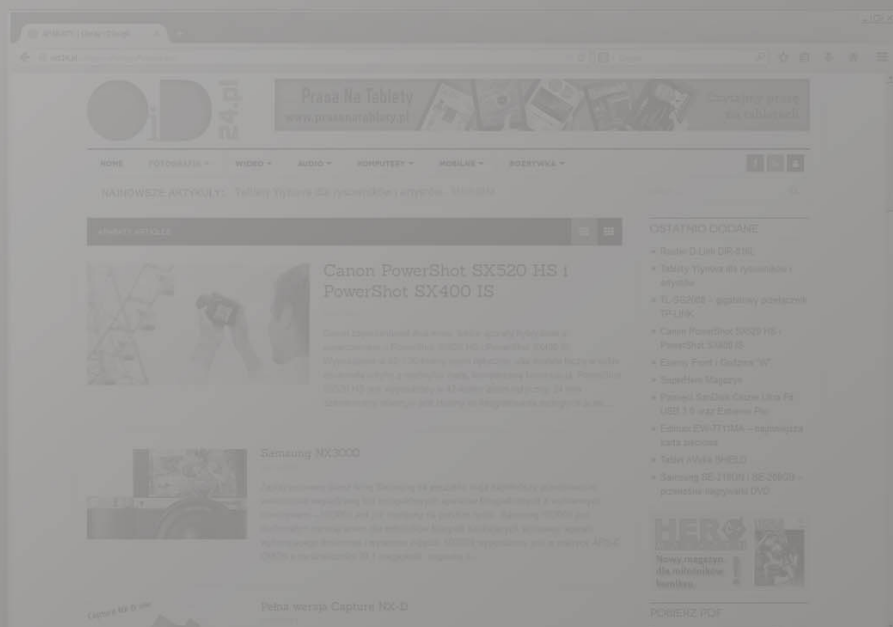
IMPREZY

KONKURSY

KSIĄŻKI

RECENZJE

WYWIADY



Reżyseria: Ridley Scott

Michał Talarek

Ridley Scott to twórca o wyjątkowej wrażliwości artystycznej, a nastrój wizualny ma dla niego nie mniejsze znaczenie niż przesłanie filmu.

Łącząc umiejętnie walory rozrywkowe z wyjątkową estetyką niezmiennie potrafi zapewnić prawdziwie filmowe emocje.

Czy stało się tak w przypadku najnowszego filmu „Adwokat”?

O pochwały obrazu raczej trudno.

OD REKLAM

PO SUKCES W CANNES

Urodzony w Anglii Ridley Scott już od najmłodszych lat interesował się sztuką. Studiował grafikę i malarstwo, co miało duży wpływ na jego twórczość filmową. Jednak nim trafił do świata filmu założył własną firmę produkcyjną, gdzie wraz z Alanem Parkerem i swoim bratem Tonyem Scottem kręcił reklamówki. Praca przy ponad dwóch tysiącach spotów zapewniła mu niezbędny warsztat, a tworząc je pod określoną publiczność mógł eksperymentować z ich formą. Jego filmy dla takich marek, jak Chanel, Marlboro czy inspirowana orwellowskim „Rokiem 1984” reklama Apple przysporzyły mu wiele nagród i wyrobiły reputację perfekcjonisty.

Wkrótce swe niemałe doświadczenie zaczął przenosić na duży ekran, choć pierwszy pełnometrażowy film nakręcił dopiero w wieku 39 lat. „Pojedynek” był kostiumowym dramatem rozgrywającym się w Europie w czasie wojen napoleońskich. Adaptacja opowiadania Josepha Conrada o waśni między dwo-

ma francuskimi oficerami obejmuje 15 lat, a w głównych rolach wystąpili Harvey Keitel i Keith Carradine. Film chwalony za wierne sportretowanie dawnej epoki zdobył nagrodę dla najlepszego debiutu na festiwalu w Cannes, lecz regularne projekcje kinowe były dość ograniczone.

TWORZĄC FANTASTYCZNE ŚWIATY

Zyskawszy rozeznanie w kinie historycznym Scott miał w planach realizację „Tristana i Izoldy”. Jednak po obejrzeniu „Gwiezdných Wojen” zmienił swą orientację – z przeszłości na przyszłość. Chciał nakręcić równie efektowny film. Będący horrorem science-fiction „Obcy – ósmy pasażer Nostromo” przyniósł mu międzynarodowe uznanie oraz sukces kasowy. Poprzez rolę Ripley graną przez Sigourney Weaver hollywoodzki debiut wprowadził do popularnej kultury postać heroiny. Poza tym talent reżysera do kreowania wysokiej jakości dekoracji i efektów wizualnych zapewnił „Obcemu” stałe miejsce w panteonie filmów fantastycznych. Nie bez znaczenia było wyko-

Cameron Diaz i Penelope Cruz w filmie „Adwokat”,
reżyseria Ridley Scott.



rzystanie efektów dźwiękowych i umiejętne budowanie napięcia. Scott przeniósł w końcu dzięki swoim zabiegom artystycznym tematykę rodem z filmów klasy C do klasy A. „Obcy” wkrótce otoczył się niemałym kultem i doczekał trzech bezpośrednich kontynuacji, a także spin-offów „Obcy kontra Predator”.

Nadzieję na równie udany film dawała adaptacja opowiadania Philipa K. Dicka „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach”. Wy-smakowany wizualnie film noir, którego akcja dzieje się w niedalekiej przyszłości w Los Angeles, wykraczał znacząco poza swój gatunek. Zadając ważne pytania o istotę człowieczeństwa nie był tylko kolejnym filmem rozrywkowym z Harrisonem Fordem w roli głównej. Zresztą nawet obsada znanego aktora nie pomogła odnieść sukcesu kasowego. „Łowca androidów” tuż po swojej premierze został wycofa-

ny z obiegu kinowego i dopiero wraz z popularnością formatu VHS zyskał drugą młodość. Doceniano reżysera za wygenerowanie przekonującej wizji świata przyszłości, w której pojawi się globalizacja i dominacja wszechpotężnych korporacji, a także humanoidalne androidy kwestionujące panujące prawa. Dzisiaj film ten uchodzi za jedno z najważniejszych dzieł w historii science-fiction.

Dając dowód swej zdolności do tworzenia fikcyjnych światów Scott nakręcił wkrótce „Legendę”. W tym filmie fantasy, gdzie główną rolę zagrał Tom Cruise, reżyser udowodnił, że równie przekonująco wprowadza na ekran wątki romansowe. Wkrótce jego aspiracje artystyczne pchnęły go w kierunku bardziej współczesnego kina. W końcu jego percepcja z jednej strony jest nastawiona na podążanie artystyczną ścieżką, a jednocześnie

z drugiej strony na to, co można sprzedać i co będzie uwielbiane przez szeroką publiczność. I nie ma tu miejsca na kompromisy, by obniżyć swe aspiracje.

STAŁE DOSKONALENIE

W filmach Ridleya Scotta często pojawia się silna postać kobieca. „Thelma i Louise” to kolejny po „Obcym” film, w którym to nie mężczyzna napędza akcję. Zresztą „Thelma i Louise” to nie tylko feministyczny manifest wolności, ale również pierwszy film, za który reżyser otrzymał nominację do Oscara. Silna kobieta jako żołnierz, grana przez Demi Moore, pojawia się też w jego późniejszym filmie „G.I. Jane”. Podobnie jak grana przez Sigourney Weaver królowa Hiszpanii w filmie „1492 podbój raju”, który uchodzi za najlepsze przedstawienie kluczowych wydarzeń z życia Kolumba. Zrealizowana z wielkim rozmachem produkcja z okazji 500-lecia odkrycia Ameryki zadziwiła wiernością szczegółów, lecz rozwlekłość fabuły utrudniła sukces kasowy.

Wielkim powrotem do kina kostiumowego, a zarazem olbrzymim sukcesem był „Gladiator” z Russellem Crowe w tytułowej roli. Film spośród 12 nominacji zdobył aż 5 Oskarów, w tym dla najlepszego filmu. Zaprezentowana w „Gladiatorze” wizja Imperium Rzymskiego przywróciła w Hollywood modę na filmy o czasach antycznych, jakich nie kręcono już od półwiecza, czego efektem była między innymi „Troja” czy serial „Rzym”.

Rok później Ridley Scott wprowadził na ekrany dwa filmy. „Hannibal” z Anthony Hopkinsem i Julianne Moore będący kontynuacją „Milczenia owiec” i adaptacją powieści Thomasa Harris. Mimo dobrego scenariusza i świetnych aktorów film odniósł jedynie umiarkowany sukces. Za to pochodzący z tego samego roku „Helikopter w ogniu” cieszył się uznaniem krytyki i publiczności. Bazujący na prawdziwej historii amerykańskich żołnierzy w czasie konfliktu w Mogadiszu film zdobył dwa Oscary, a zdjęcia do niego wykonał Sławomir Idziak.

W czterech kolejnych filmach Ridleya Scotta główne role grał Russell Crowe, a ich różnorodność gatunkowa obejmowała kino gangsterkie, szpiegowskie, przygodowe i dramat obyczajowy. Wspierając rozwój nowych mediów zaangażował się w akcję „Jeden dzień z życia” przeprowadzoną przez Youtube. Internauci nadsyłali swoje wideoblogi z danego dnia, z których wybrane klipy stały się podstawą filmu dokumentalnego ukazującego mnogość perspektyw.

Powrotem do ulubionego gatunku science-fiction był film „Prometeusz”, w którym wykorzystano nową technologię 3D. W „Adwokacie”

WYBRANA FILMOGRAFIA

- „Pojedynek” (1977)
- „Obcy – Ósmy pasażer Nostromo” (1979)
- „Łowca androidów” (1982)
- „Legenda” (1985)
- „Czarny deszcz” (1989)
- „Thelma & Louise” (1991)
- „1492: Wyprawa do raju” (1992)
- „Gladiator” (2000)
- „Hannibal” (2001)
- „Helikopter w ogniu” (2001)
- „American Gangster” (2007)
- „W sieci kłamstw” (2008)
- „Robin Hood” (2010)
- „Prometeusz” (2012)
- „Adwokat” (2013)





Michael Fassbender w filmie „Adwokat”,
reżyseria Ridley Scott.

Scott pokazał natomiast intrygę pewnego prawnika zamieszanego w świat przemytu narkotyków. Jeśli idzie o plany na przyszłość reżyser powiedział, że nie ma żadnych, gdyż robi tylko to, co fascynuje go w danej chwili. Znając jego szerokie możliwości kolejny film nie będzie przeciętny. Sam twierdzi, że jakość nie ogranicza się do jednego gatunku. Jeśli uczyni się z niej wartość nadrzędną to zaprocentuje ona przy każdym projekcie.

WARSZTAT TWÓRCZY

Na jego reżyserski styl w dużej mierze wpłynęło wykształcenie, które oprócz edukacji filmowej obejmowało również grafikę i malarstwo. Przygotowując się do produkcji sam rysuje tak szczegółowe storyboardy, że nawet dystrybutorzy DVD nazywają je mianem „ri-

dleygramów”. Scott w budowaniu filmowej atmosfery chętnie używa olbrzymich wiatraków, generatorów dymu oraz innowacyjnych sposobów oświetlenia. Zwykle też w sekwencjach używa bardzo wolnego tempa, budując napięcie pod mające nastąpić sceny akcji. „Łowca androidów” uchodzi za wyjątkowo powolny film. Specyficzny klimat pomaga mu budować muzyka autorstwa między innymi Vangelisa, Tangerine Dream czy Hansa Zimmera oraz użycie dźwięków takich, jak sycząca para, szum komputerów i „kosmicznych” maszyn.

Zwykle używa kamer ustawionych w literę „V”, co pozwala aktorom grać w jego filmach bardziej płynnie. Korzystając z trzech ustawień jednocześnie daje oświetlaczom trudne zadanie do wykonania. Jednak czas poświęcony na takie przygotowanie planu zwraca się z nawiązką, bo kręci wtedy mniej dubli. Uważa, że

rola reżysera polega na wyznaczaniu kierunku i podejmowaniu decyzji. Jego rada dla młodych adeptów – zawsze sprawiać wrażenie jakby się wiedziało, co się robi, nawet gdyby to nie była prawda. Po latach pracy w zawodzie wciąż trafiają mu się chwile, gdy sam się gubi w swych decyzjach. Ale ponieważ na planie wciąż zdarza się mnóstwo nieoczekiwanych zmian i wypadków, zaufanie swej intencji jest jedynym rozwiązaniem.

DOMOWY KINOMANIAK

Byłoby wielką szkodą dla sztuki, gdyby po całym wysiłku włożonym w produkcję filmu, tuż po pokazach kinowych miał on na zawsze przepaść. Rynek wideo i DVD sprawił, że widzowie mogą cieszyć się ulubionymi filmami w każdej chwili. Dlatego Ridley Scott ma olbrzymi entuzjizm dla domowego kina i stara się dodawać komentarze oraz wywiady do każdego swojego filmu na DVD, zapewniając mu życie w drugim obiegu.

Scott jest uważany za ojca wersji reżyserskich, które stały się popularne za sprawą „Łowcy androidów”. Film ten dopiero na rynku wideo odnalazł swą publiczność, a jego wersja reżyserska z 1992 roku była olbrzymim przebojem. Od tamtej pory Scott przemontowuje swoje filmy, które w czasie premier nie odniosły oczekiwanych sukcesów (jak „Legenda” czy „Królestwo niebieskie”). Dziś wielu producentów, chcąc zmaksymalizować sprzedaż, też dodaje do filmu nieużywany dotąd materiał. Scott jednak poszedł w tym dalej. Sześć lat temu na festiwalu w Wenecji zaprezentował ostateczną wersję filmu „Łowca androidów”. Przyznał, że ta o 15 lat wcześniejsza była wymuszona przez studio, a on potrzebował czasu, by stworzyć film, jaki początkowo planował.

Specjalna ekipa zajęła się nawet dokrętkami. Dograno na przykład ujęcie z synem Harrisona Forda dublującym podbródek ojca, nowe niebo z ulatującym gołębiem czy podmieniono scenę śmierci jednego z androidów.

BRATERSKIE WIĘZI

Jeśli już o rodzinnych związkach mowa, nie sposób wspomnieć o zmarłym przed rokiem bracie Ridleya. Tony Scott jest znany głównie z takich przebojów, jak „Top Gun”, „Prawdziwy romans”, „Wróg publiczny” czy „Domino”. Współpracował przy filmach starszego brata odkąd w wieku 16 lat zagrał w jego filmie „Chłopiec i rower”. Uczyli się w tych samych szkołach, a Ridley namówił go później do współpracy przy reklamach i przejścia na filmy pełnometrażowe, mówiąc: Jeśli chcesz robić filmy, zobacz czy potrafisz wyżebrać, pożyczyc lub ukraść kamerę. W swoim 44-letnim doświadczeniu Tony nakręcił tysiące reklam i teledysków. Ponadto ich wspólna firma Scott Free Productions oprócz telewizyjnych seriali „Numb3rs”, „The Good Wife” czy „Filary ziemi” wyprodukowała kinową wersję „Drużyny A”. W 2012 roku Tony, pracując nad sequelem „Top Gun” dowiedział się o swojej śmiertelnej chorobie i popełnił samobójstwo. Najnowszy film Ridleya „Adwokat” jest dedykowany właśnie pamięci brata.

W roku 2003 reżyser otrzymał z rąk brytyjskiej królowej tytuł szlachecki za zasługi dla kina. Stwierdził, że jest filmowcem, a nie dokumentalistą, ale stara się zawsze dotykać prawdy. Do swoich najbardziej udanych i osobistych filmów zalicza – co nie może dziwić – „Łowcę androidów”. Sam zgadza się ze stwierdzeniem, że sztuka jest jak rekin – jeśli nie płyniesz do przodu to możesz utonąć. ■



„ADWOKAT”, (2013)

Scenariusz: Cormac McCarthy.

Reżyseria: Ridley Scott.

Występują: Michael Fassbender, Brad Pitt, Penélope Cruz, Cameron Diaz, Javier Bardem, Bruno Ganz, Rosie Perez, Toby Kebbell, Rubén Blades, Natalie Dormer, Goran Visnjic.

Zdjęcia: Dariusz Wolski.

Dystrybucja: Imperial-Cinepix.

Trzymający w napięciu thriller. Główny bohater to uznany prawnik, który skuszony wizją łatwego zarobku wplątuje się w ciemne interesy, a sprawy wymykają się spod kontroli. Utrzymany w ciekawej konwencji film opowiada o sile pokusy i o tym, że czasem podejmujemy błędne decyzje i wplątujemy się w coś, od czego lepiej trzymać się z daleka.

Zdjęcia trwały osiem tygodni – powstawały w Londynie i Hiszpanii, poprzedzono je dwutygodniowymi próbami. Scenograf Arthur Max przyznaje, że styl pisania McCarthy’ego świetnie współgra ze stylem reżyserskim Ridleya Scotta : Cormac świetnie opisuje przestrzenie, w których rozgrywa się akcja jego książek. Robi to sugestywnie, bez trudu można sobie wyobrazić te miejsca i znajdujące się w nich przedmioty. Ciężarówka, bentleye, meble art deco. Wszystko jest precyzyjnie nakreślone.

Wyzwaniem dla twórców było to, że zdjęcia powstawały w Londynie, gdy odbywały się tam Igrzyska Olimpijskie. Film kręcono w ponad dwudziestu pięciu lokalizacjach – niektóre z nich „zagrały” amerykańskie i meksykańskie lokale.

Autorem zdjęć jest Dariusz Wolski. Przypomnijmy jego sylwetkę. Studiował w Łódzkiej Szkole Filmowej, ale nie ukończył studiów. W 1979 wyjechał do Nowego Jorku. Pracował przy filmach dokumentalnych oraz niskobudżetowych, niezależnych produkcjach filmowych. Przełomem w jego karierze było dołączenie do ekipy filmu „Hart” w 1986 roku. Potem przeniósł się do Los Angeles, gdzie współpracował między innymi z Davidem Fincherem, Alexem Proyasem i Jake’em Scottem przy produkcji teledysków. Ma na swoim koncie ponad 100 klipów, między innymi dla takich gwiazd, jak Paula Abdul, David Bowie, Elton John, Neil Young, Aerosmith czy Sting.

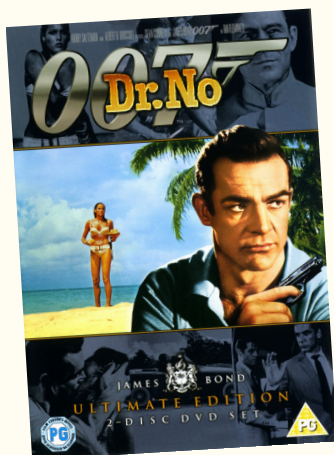
Był następnie autorem zdjęć do filmów wyprodukowanych przez Rogera Cormana – „Nightfall” i „Land of little Rain”. Wolski jest w Stanach Zjednoczonych cenionym operatorem, czego wyrazem jest praca przy superprodukcjach takich, jak filmowa saga „Piraci z Karaibów”. Od 2004 r. jest członkiem Amerykańskiej Akademii Filmowej.

Wybrana filmografia: „Nightfall” (1988), „Kruk” (1994), „Fan” (1996), „Morderstwo doskonałe” (1998), „Bad Company” (2002), „Siła strachu” (2005), „Eagle Eye” (2008), „Alicja w Krainie Czarów” (2010), „Dziennik zakrapiany rumem” (2011).

JAMES BOND

wzorcowa opowieść filmowa

Michał Talarek



Przed laty w poszukiwaniu magicznej formuły dla wyprodukowania złota alchemicy próbowali różnych metod. Podobnie dzisiaj postępują filmowcy, którzy pragną stworzyć serię filmów mogącą okazać się żyłą złota. Nikt jednak nie odniósł takiego sukcesu, jak twórcy filmów o Bondzie, którzy już od ponad półwiecza wciąż sprzedają na nowo tę samą historię.

Sequely filmów przygodowych, jeśli nie są odpowiednio modyfikowane, już po paru częściach zaczynają nużyć. Producenci Broccoli i Saltzman (dysponujący prawami do niemal wszystkich opowiadań Iana Fleminga) od początku zakładali, że nie skończy się na jednym filmie. Aby zwiększyć szanse na sukces do roli reżysera zaangażowali weterana filmów wojennych – Terence’a Younga, który znakomicie się wywiązał z powierzonego mu zadania. Po projekcji „Doktora No” z gratulacjami zadzwonił do niego sam Orson Welles. Oznajmił też, że jego film zmienił gramatykę kina, lecz inni będą próbować imitować jego styl i wkrótce będą robić to lepiej. Twórca rewolucyjnego „Obywatela Kane’a” wiedział, co mówił – pięć lat później sam wziął udział w niezbyt udanej parodii przygód Bondy pod tytułem „Casino Royale”, która obok innych „podróbek” takich, jak „Operacja Kid Brother” próbowała zdyskontować sukces agenta 007. Filmy z Bondem

jednak faktycznie wpłynęły na gatunek kina przygodowego, tworząc podwaliny pod późniejsze hity Arnolda Schwarzeneggera czy Bruce’a Willisa.

W CIENIU ARCHETYPÓW CARLA JUNGA

Profesjonalni scenarzyści są dobrze zaznajomieni z ideą Monomitu zaproponowaną przez Josepha Campbella. W swej książce „Bohater o tysiącu twarzy” antropolog przekonuje, że do prostej struktury opowieści o przygodzie można sprowadzić każdą historię, tak jak robili to przed wiekami nasi przodkowie przy ognisku. Bohaterów z kolei można przyporządkować do postaci archetypów istniejących w każdej kulturze. Campbell – na podstawie indukcyjnej analizy opowieści z różnych zakątków świata, a także badań Carla Junga – zaproponował „Podróż boha-

tera” jako uniwersalny wzorzec opowieści. Pod model ten można dopasować większość współczesnych filmów, nie tylko rozrywkowych. Filmy z serii „Gwiezdných Wojen” czy „Indyany Jonesa” (który był spielbergowskim odpowiednikiem Bonda) są najwierniejszym przeniesieniem tej teorii na ekran. Szczególne miejsce w ramach Monomitu znalazła dla siebie struktura filmów o Bondzie charakteryzująca się specyficzną formułą.

Zwykle każda filmowa franszyza charakteryzuje się jakimś swoistym szablonem, który ulega mniejszym lub większym zmianom w poszczególnych częściach. Na przykładzie Bonda daje się zastosować schemat powieści detektywistycznej, gdzie celem głównego bohatera – zwykle bardzo inteligentnej jednostki – jest zidentyfikowanie przestępcy poprzez zbieranie dowodów i poszlak. Formuła ta jest na tyle otwarta, że zmieniając jedynie takie elementy, jak motyw, złoczyńcy czy lokacja, można stworzyć od nowa tę samą historię. Z kolei złamanie reguły powtarzalności – gdyby zbrodnia nie została wyjaśniona lub została rozwiązana bez udziału głównego bohatera – byłoby pogwałceniem umowy między twórcą a odbiorcą. Odbiorca wie bowiem, że główny bohater musi rozwiązać problem, i sam stara się odgadnąć przebieg wydarzeń, natomiast rola twórcy opowieści polega na myleniu tropów i utrudnianiu prawidłowego odgadnięcia. Co więcej, mając do czynienia z cyklem opowiadań odbiorca ma prawo zakładać, że główny bohater przeżyje – kiedy więc bohater zostaje pochwycony przez złoczyńcę, to nie martwi się o jego przetrwanie, lecz zastanawia się, jaki fortel pomoże mu w ucieczce.



SEMIOTYKA WEDŁUG UMBERTO ECO

Umberto Eco, filozof i badacz literatury oraz autor między innymi powieści detektywistycznej „Imię Róży” (w której adaptacji nota bene zagrał Sean Connery), w 1979 roku pokusił się o analizę struktury narracyjnej w utworach Iana Fleminga. Jednak teorie z książki „The Role of the Reader: Explorations in the Semiotics of Texts” dają się równie łatwo odnieść do bazujących na tym samym tekście

bondowskich filmów. Włoski profesor zaobserwował przede wszystkim, że

w opowieściach tych znajdują się specyficzne role do obsadzenia oraz zadania do wykonania, które są ułożone w taki sposób, że jedno napędza drugie. I tak jeśli wydarzenia z książki „Doktor No” można poskładać w schemat ABCDEFGHI, to struktura „Goldfingera” charakteryzuje

się tymi samymi wydarzeniami, lecz ułożonymi we wzór BCDEACDFGFHEHI. Zmiana kolejności i powtarzanie niektórych ruchów oraz zaniechanie innych zapobiega przewidywalności kolejnych opowieści. Eco twierdzi, że Fleming często podmienia zawartość takich elementów, jak postacie drugoplanowe, lokacje, sposób przemieszczania się, metody porwania, tortur czy ucieczki, po to, by zatrzeć podobieństwa między poszczególnymi tytułami. Ich esencja pozostaje jednak niezmienna. Zachowanie sztywności modelu przy dopuszczeniu minimalnych różnic w jego zawartości Eco nazywa „sprytnym montażem déjà vu”. Podstawowy schemat jest zachowany, by czytelnik (czy w wypadku filmów – widz) został pochłonięty przez grę, której reguły i rezultat od początku są mu znane.

Fleming w swych książkach proponuje własną etykę wartości, gdzie wszystko, co reprezentowane przez Bonda i jego ojczyznę stanowi Dobro (wolny świat, poświęcenie, niewinność, lojalność), zaś negatywne cechy (Związek Radziecki, luksus, perwersja) zostają przypisane wrogom. Ci zaś, żyjąc w niezwykłym bogactwie i seksualnie perwersyjni, reprezentowani są na ogół przez cudzoziemców: Drax jest Niemcem, Dr No Chińczykiem, Mr. Big Amerykaninem, a Blofeld ma polskie korzenie. Zachodnia cywilizacja, której agent 007 jest przedstawicielem to propaganda porządku, geniuszu, i poświęcenia dla wyższych celów – w tym wypadku służby dla Królowej.

BROCCOLI I SALTZMAN PRZEDSTAWIAJĄ

Filmy o Bondzie zapełniły na rynku lukę, łącząc w sobie brytyjską tradycję filmu szpiegowskiego z produkcyjnymi wartościami widowiska utożsamianego z hollywoodzkim kinem. Określenie „bondowski” miało w zamierzeniu Alberta R. Broccoliego oznaczać, że coś jest zgodne z duchem Jamesa Bonda. Hitchcock zwykł mawiać: Jeśli mam trzynaście „wstrząsów” to wiem, że mam udany film. Rozumiał przez to szokujące przeżycia, zmiany w akcji – cokolwiek, co dawało widzowi ekscytację. Broccoli i Saltzman chcieli 39 wstrząsów, bo każdy metr ich filmów miał być wart ekscytujących przeżyć.

Już pierwszy film – „Doktor No” – wprowadził większość elementów, które uczyniono stałym wyznacznikiem bondowskiego gatunku takich, jak: struktura narracyjna, styl wizualny czy propagowane wartości wolnego świata. Obok reżysera Terence’a Younga jednym z odpowiedzial-

nych za sukces franszyzy był scenarzysta Richard Maibaum, autor łącznie 13 scenariuszy z tej serii. To on zdefiniował i udoskonalił bondowską formułę, która zawierała: ekscytującą sekwencję otwierającą, po której Bond dowiadywał się na odprawie o swojej nowej misji, w czasie której odkrywał stojącego po ciemnej stronie geniusza zbrodni i będącego na jego usługach kalekiego pomocnika. W trakcie wykonywania misji Bond poznaje piękną dziewczynę, która w finale po wymierzeniu sprawiedliwości łąduje w jego ramionach. Rozszerzona przez Maibauma formuła zawierała również dużą dawkę czarnego humoru, jakiego książki Fleminga były pozbawione. Słynne jednolinijkowe i celne riposty, wygłaszane przez Bonda przy szczególnej okazji, były później z powodzeniem kopiuwane w innych filmach sensacyjnych.



W KIERUNKU SCHEMATÓW

Formuła sprawdzała się na tyle dobrze, że niekiedy producenci odcinali kupony od sławy, przenosząc główną intrygę z jednego filmu na drugi. Chyba najbardziej jest to widoczne w przypadku filmów „Szpieg, który mnie kochał” oraz nakręconego tuż po nim „Moonraker”. Fabuła obu dotyczy megalomana, który szykuje się do zagłady życia na Ziemi i dominacji poprzez stworzenie własnego świata – odpowiednio w podmorskich głębinach lub w bezkresie przestrzeni kosmicznej.

Trzeba przyznać, że miłośnicy serii przyzwyczaili się już do pewnych powtórzeń i traktują je raczej jako hołd, szczególnie w przypadku okrągłych jubileuszy. Tak było w przypadku powstałego w 40 lat od premiery pierwszego

filmu „Śmierć nadejdzie jutro”, w którym ro-
iło się od cytatów i zapożyczeń z poprzednich
części. Oś fabuły dotyczyła wykorzystania dia-
mentów jako nowej broni, którą można było
sterować z przestrzeni kosmicznej, co było
nawiązaniem do filmu „Diamenty są wiecz-
ne”. „Śmierć nadejdzie jutro” był jednakże tak
daleko posunięty w absurdy, że mimowolnie
stawał się parodią całej serii. Pytanie, kiedy
w trakcie sceny z Q Bond, wskazując na stare
gadżety mówi: Czy to wciąż działa? – zostało
odebrane przez krytyków jako autokomen-
tarz dotyczący bondowskiej formuły.

Z kolei powstały z okazji pięć-
dziesięciolecia cyklu „Skyfall” po-
wtarzał takie elementy z wcze-
śniejszych części, jak: zniszczenie
siedziby MI6 („Świat to za mało”),
zdrada agenta z podwójnym
zerem („GoldenEye”), czy miej-
sce spotkania w kasynie w Makao
(„Człowiek ze złotym pistoletem”). Gdy-
by się nad tym dobrze zastanowić, cały ten film
stanowi zlepek wątków z poprzednich części,
które połączone na nowo stworzyły inną jakość.

ADAPTACJA DO ZMIAN JAKO PODSTAWA PRZETRWANIA GATUNKU

Psychologowie twierdzą, że zmiana jest
czymś trudnym do akceptacji dla wielu ludzi,
podczas gdy to, co znane daje komfort i bez-
pieczeństwo. Rozwód, strata pracy, ślub czy
awans – wprowadzają pewne zakłócenia w ru-
tynie życia. Zmiana jest też czynnikiem, który
mógłby zaszkodzić sukcesowi Bonda, czy to na
papierze, czy na ekranie. Widzowie są bardzo
wybredni: z jednej strony chcą wciąż oglądać
coś nowego, z drugiej zaś najlepiej się bawią
oglądając to, co już znają. Zachodzi tu więc

paradoks: jeśli historia staje się zbyt przewi-
dywalna to przynosi odwrotny efekt i zaczyna
nudzić; jeśli zaś jest zbyt oryginalna i wyróżnia
się na tle tego, co było dotychczas, to może
okazać się niewystarczająco „bondowska”.

Jedną z poważnych prób sprawdzenia ogra-
niczeń formuły był film „Licencja na zabijanie”
z 89 roku, przez większość widzów oceniony
jako zbyt krwawy i jedyny w serii z certyfi-
katem „od 15” lat. Humor ustąpił tu miejsca
przemocy, a powaga realnego świata zastąpiła
miejsce umowności świata Jamesa Bon-
da. Zatopienie w realistycznych a nie
fikcyjnych problemach zbliżyło
produkcję raczej do „Zabójczej
broni” czy znanych z telewizji
„Policjantów z Miami”. To te
czynniki – obok błędów w pro-
mocy i kłopotów wytwórni –
przyczyniły się do porażki finan-
sowej filmu i przerwania produkcji
dalszych części na sześć lat.

Po czterech lżejszych filmach z Piercem Bro-
snanem wrócono do idei na poważniejsze po-
dejście do tematu. Daniel Craig reprezentuje
jednak gorzki kierunek w kinie akcji na prześla-
dowanego przez mroczną przeszłość bohatera
epoki globalnego terroryzmu, który został za-
początkowany przez serię filmów o Batmanie
czy Jasonie Bournie. Tym samym formuła Bon-
da – zamiast wyznaczać standardy dla innych
– dostosowała się do istniejących już trendów,
a postbrosnanowskie części stały się kalką bo-
urne’owskich produkcji. Wielu krytyków wyty-
kało też twórcy „Skyfall” Samowi Mendesowi
nadmierną inspirację nolanowską interpreta-
cją mitu o Batmanie. Jednak ten nowy kieru-
nek znacząco odświeżył ugniatającą się pod
ciężarem własnej tradycji serię i zyskał dla niej
nowe pokolenie fanów. ■



Niezwykle trudno jest stworzyć markę rozpoznawalną na całym świecie, lecz producentom filmów o przygodach agenta 007 ta sztuka udało się znakomicie. Już sam kryptonim szpiega stał się znakomitym znakiem towarowym, który pomaga sprzedawać ubrania, perfumy czy zabawki. Filmy o Bondzie stanowią wręcz benchmark dla innych produkcji kina przygodowego. Obok złoczyńców o megalomańskich skłonnościach, kobiet z kontrowersyjnymi imionami czy zaskakujących gadżetów istnieje parę elementów, na które widzowie wyczekują z utęsknieniem, a bez których trudno wyobrazić sobie film o Bondzie.

Trademark filmowy

Michał
Talarek

Znasz to imię?
Znasz ten numer?



ZNAKI ROZPOZNAWCZE BONDA

007

Numer agenta z licencją na zabijanie wymyślony przez Fleminga stał się tak cenny, że Saltzman i Broccoli, uruchamiając produkcję serii, stworzyli oddzielną firmę Danjaq, która miała strzec praw autorskich do znaków towarowych. Graficzna reprezentacja tego numeru wraz z towarzyszącym jej pistoletem stała się

logo dla wielu produktów poza filmami, a jego realną wartość marketingową trudno nawet oszacować.

Znak ten towarzyszy również kampaniom reklamowym filmów, bywa, że jest na nim opisywany tytuł poprzez wykorzystanie litery „o” jako substytutu cyfry 0 (jak w przypadku „Quantum of Solace” czy dokumentu „Everything or Nothing”). W latach sześćdziesiątych

i siedemdziesiątych mnożyły się podróbki filmów szpiegowskich próbujące wykorzystać ten kryptonim, czego w Polsce efektem był serial „07 zgłoś się”. Producenci starali się jednak dbać o swoje interesy i blokowali wszelkie tytuły mogące sugerować produkt bondopodobny. W końcu Bond jest tylko jeden. To dlatego po sześciu latach przerwy w kampanii reklamowej „GoldenEye” wykorzystano hasło: „Znasz to imię, znasz ten numer”. Fani wiedzieli o jakie imię i numer chodzi.

LUFA PISTOLETU

Biała kropka pojawia się na ekranie i wędruje w prawą stronę, a następnie w kadr wchodzi sylwetka dynamicznie kroczącego mężczyzny. Kiedy dociera do środka ekranu nagle wyjmuje pistolet i oddaje strzał. Biała kropka zalewa się krwią. Pomysł na tę kultową sekwencję powstał podczas opracowywania napisów tytułowych do pierwszego filmu i podobno zajął... 20 minut. Jej twórca Maurice Binder miał tylko tyle czasu przed spotkaniem z producentami na przygotowanie oryginalnego otwarcia filmu. Pod ręką miał akurat kilka etykiet cenowych w formie białego koła, więc wymyślił, że użyje ich jako strzałów na ekranie. Następnie do storyboardu dodał przechodzącego Bonda, który strzela, aż poleje się krew. A ponieważ najprostsze pomysły są najlepsze, producenci byli tym zachwyceni.

Czołówkę kręcono wielokrotnie. W pierwszej wziął udział nie Sean Connery, lecz jego dubler Bob Simmons, gdyż chodziło jedynie o wykorzystanie sylwetki. Dopiero, kiedy do czwartego filmu zmieniano format obrazu na Techniscope, Connery miał okazję w niej wystąpić. Z każdym kolejnym aktorem pojawiały się drobne wariacje, a ruch był bardziej dy-



namiczny. O ile Connery przyklekał, a Moore oddawał strzał oburącz, to już Brosnan i Craig strzelali z jednej ręki, stojąc.

Sylwetka mężczyzny w smokingu, który pojawia się w lufie pistoletu to dla nowych widzów pierwszy kontakt z Bondem. Jednak w filmach z Danielem Craigiem postanowiono poeksperymentować nieco z konwencją, więc w „Casino Royale” zostaje ona wpleciona do fabuły, stając się integralną jej częścią. W późniejszych dwóch częściach natomiast zostaje zaprezentowana dopiero pod koniec seansu. Historyk James Chapman uważa, że sekwencja ta jest ważną częścią bondowskiej mitologii, gdyż oddaje ideę podpatrywania, co jest istotne dla szpiegowskiego rzemiosła.

JAMES BOND THEME

Sekwencji z lufą pistoletową towarzyszy zawsze fragment motywu przewodniego serii. „James Bond Theme” to jeden z najpopularniejszych utworów muzyki filmowej. Do dziś niejasne jest jego autorstwo, które od początku przypisuje się Monty’emu Normanowi. To on miał podjąć się zadania napisania muzyki do „Doktora No”, lecz ostatecznie zastąpiono go Johnem Barrym. Barry odpowiada za muzykę do większości filmów o Bondzie – aż 11 tytułów – i to on dokonał aranżacji utworu na potrzeby filmu. Zdobywca Oscara i kompozytor wielu piosenek z bondowskiego reper-

tuaru utrzymywał, że to on również stworzył „James Bond Theme”. Jego dwa procesy o odzyskanie należnych mu tantiem nie zakończyły się jednak sukcesem. Monty Norman twierdzi, że pomysł na melodię przyszedł mu do głowy podczas zabawy hinduskimi instrumentami. Utwór ten był poddawany aranżacji na wiele różnych sposobów, między innymi na styl techno przez takich muzyków, jak Moby czy Paul Oakenfold.

Motyw Bonda pojawia się jednak nie tylko podczas otwarcia filmu. Towarzyszy on zawsze akcji na ekranie, gdy Bond robi coś niezwykłego. W „Licencji na zabijanie” montażyści dźwięku sprawili, że podczas pościgu nawet kule odbijające się rykoszetem od cysterny zdają się wygrywać słynną melodię. Z kolei po restarcie serii wiele konwencji zostało zarzuconych. Oglądając w „Casino Royale” jak Bond stawał się agentem z licencją na zabijanie, widzowie mieli z utęsknieniem wyczekiwać ulubionego kawałka muzycznego. Pojawia się on dopiero w ostatniej scenie, kiedy Bond przedstawia swe nazwisko.

„NAZYWAM SIĘ BOND...”

...James Bond.” Te słowa również należą do stałego repertuaru w serii. Wypowiedziane po raz pierwszy w „Dr. No” podczas gry w kasynie sprawiły, że scena momentalnie stała się jedną z najbardziej kultowych w historii kina. Reżyser Terence Young nie przedstawiał dotąd twarzy grającego Bonda aktora. Skupiając uwagę widza na gestach jego rąk lub ujęciach zza pleców, wzmagając oczekiwanie na ujawnienie twarzy tajemniczego człowieka. Dopiero, kiedy jego przeciwniczka Sylvia Trench wyjawia swe nazwisko, Bond – przypalając niedbale papierosa – wygłasza legendarną formułkę.

W każdym następnym filmie sposób przedstawienia się następował w innych okolicznościach. Moment ten był na tyle kultowy, że scenarzyści nieraz pozwalali sobie na pastisz. W filmie „Diamenty są wieczne” Bond działa pod przykrywką szmuglera, więc przedstawia się „Franks, Peter Franks”. W „Żyj i pozwól umrzeć”, kiedy próbuje się przedstawić, jego rozmówca przerywa mu w pół zdania oznajmiając, że nazwisko przyda mu się na nagrobek.

Legendarna autoprezentacja do dziś jest najbardziej wrażliwym momentem dla kolejnych odtwórców Bonda, którzy chcą przekonać widownię do prawdziwości swych słów. Jedynym zmartwieniem Rogera Moore’a, kiedy po raz pierwszy mierzył się z rolą życia, był strach, by nie powiedzieć „Nazywam się Bond, James Bond”, w charakterystycznym dla Connery’ego sposobie wymowy. Sekwencja introdukcji była pierwszą sceną, jaką do „GoldenEye” nagrywał Pierce Brosnan. Paraliżujący strach przed odpowiedzialnością za swoje słowa został pokonany, dzięki paru głębszym łykom wódki, oczywiście wstrząśniętej, a nie zmieszanej.

VODKA MARTINI

Instrukcja podawania drinka została uznana przez Amerykański Instytut Filmowy za jeden z najbardziej pamiętanych cytatów filmowych. Przepis na drink pojawił się już w pierwszej książce o Bondzie, „Casino Royale”. W jego skład wchodzi cztery miarki wódki i jedna wytrawnego wermutu, które po wstrząśnięciu w shakerze zostają uzupełnione o dużą ilość lodu, limonkę i oliwkę.

Warto nadmienić, że Bond nie pija zwykłego Martini, lecz wódkę Martini, która podana na zimno najlepiej smakuje właśnie wstrzą-

śnięta, nie zmieszana. Według lekarzy to pozwala również zwalczać wolne rodniki. Jednak scenarzyści – którzy lepiej znają format niż znaczenie – nie zawsze zdawali sobie z tego sprawę. To dlatego w „Goldfingerze” i „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości” Bond zamawia zwykłe Martini, którego się nie serwuje po wstrząśnięciu. W pierwszych dwudziestu filmach – w ramach lokowania produktu na ekranie – Bond pijał wyłącznie Smirnoffa. Od czasu „Casino Royale” jego ulubioną marką została jednak Finlandia.

Roger Moore, by odróżnić swą kreację od poprzednika, nie zwykł jednak zamawiać słynnego drinka. Jeśli już, oferowali mu go jego rozmówcy lub... barmani. W końcu, jak sam żartował, bycie najstynniejszym szpiegiem sprawia, że barmani w każdym zakątku świata znają jego preferencje. Daniel Craig z kolei, chcąc dodać swojej kreacji więcej wyrazu, zapytany przez barmana w „Casino Royale” o to, czy woli wódkę wstrząśniętą, czy zmieszaną odparł, że ma to gdzieś. Oto odpowiedź godna prawdziwego twardziela.

PIOSENKA TYTUŁOWA

Pierwsze dwa filmy nie zawierały jeszcze piosenki tytułowej w otwierającej sekwencji, ale tradycja wkrótce stała się faktem. Utwór towarzyszący sekwencji otwierającej wyłaniany w ramach konkursu zawierał słowa korespondujące z fabułą filmu. Zwykle też stawał się hitem na liście przebojów, a jego wszechobecność w radiu i reklamach wzmagająca tylko apetyt przed premierą kolejnej odsłony cyklu. Od czasu legendarnego „Goldfingera”, z którego utwór tytułowy przez 70 tygodni był na liście przebojów, piosenka pomagała sprzedawać film.

Wśród wykonawców znaleźli się między innymi Tom Jones, Paul McCartney, Duran Duran, Tina Turner czy Madonna, a trzykrotnie motyw tytułowy wykonała diva Shirley Bassey. Swe utwory do fil-

mów pisali też Johnny Cash, Blondie, Pet Shop Boys i The Cardigans, lecz ostatecznie odrzucano ich propozycje. Piosenka, do której muzykę zwykle tworzył kompozytor filmu była też wykorzystywana w wersji instrumentalnej na ścieżce dźwiękowej. Czasem tytuł utworu różnił się od tytułu filmu. „We have all the time in the world” w wykonaniu Louisa Armstronga był natomiast ewenementem. Ostatni utwór znanego jazzmana nie znalazł się w czołówce filmu, lecz w specjalnej sekwencji montażowej dotyczącej relacji miłosnej Bondy z przyszłą panią Bond. Na listę przebojów trafił zaś po dwudziestu pięciu latach, gdy został użyty w reklamie piwa.

O ponadczasowości tych przebojów może świadczyć też projekt Davida Arnolda – kompozytora muzyki do filmów Pierce’a Brosnana i Daniela Craiga’a – który przygotował nowe wersje utworów w wykonaniu między innymi Iggy’ego Popa, Nataschy Atlas czy Pulp. Piosenki z bondowskiej serii stały się istotną częścią klasyki filmowej, o czym mogą świadczyć kolejne reedycje antologii. Sporo z nich zyskało też nominację do Oscara, a motyw tytułowy z filmu „Skyfall” w wykonaniu Adele został już wyróżniony nagrodą.



CZOŁÓWKA

Napisy tytułowe wywodzą się jeszcze z dawnej tradycji kina, gdy wszystkie osoby wchodzące w skład ekipy i obsady były wymieniane na początku. Miało to zapewne dać szansę spóźnialskim na nieprzegapienie istotnego dla intrygi wprowadzenia. W latach sześćdziesiątych stopniowo jednak ograniczono rolę czołówki na rzecz napisów końcowych, a współcześnie coraz rzadziej spotykamy filmy, w których na początku zobaczymy coś więcej poza tytułem. Zmiany te jednak nie zmieniły bondowskiej tradycji rozpoczynania filmu artystycznym ozdobnikiem.

Czołówka filmów o Bondzie zawiera zwykle wizualny motyw nawiązujący do fabuły filmu takie, jak diamenty, ropa naftowa czy nurkowanie. Od samego początku jej integralnym elementem są sylwetki nagich dziewczyn zestawione z wirującymi obrazami, a w jej ścieżce dźwiękowej pobrzmiwa piosenka tytułowa. Już w „Pozdrowieniach z Rosji” wykorzystano efekt projekcji obrazu na nagie ciało tancerek, które w kolejnym filmie były pomalowane złotą farbą. Stopniowo czołówka robiła się coraz bardziej złożona, stając się małym dziełem sztuki.

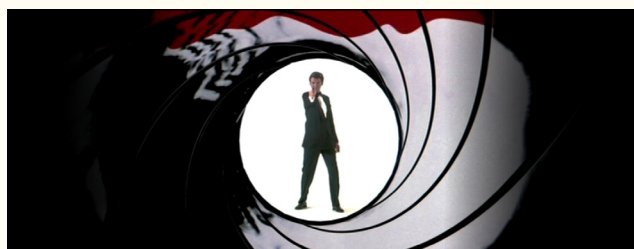
Począwszy od „Operacji Piorun” przez kolejne dwanaście tytułów nad wykonaniem tła dla napisów początkowych czuwał Maurice Binder. Rozwijając swój koncept artystyczny, Binder komplikował kolejne ujęcia, gdzie anonimowe modelki i akrobatki zaczynały odbijać się od trampoliny i fruwać w powietrzu. Nałożone na obraz filtry zasłaniały ich nagość, a pojawiające się w tle obrazy zyskiwały kolejne wymiary.

Zazwyczaj w tych odrealnionych scenach ludzkie postacie pełniły rolę symboliczną. Jednak w czołówce do filmu „Szpieg, który mnie

kochał” pojawił się Roger Moore, który w różnych ujęciach mierzy z pistoletu. Z kolei w „Tylko dla twoich oczu” po raz pierwszy w historii widać śpiewającą główny utwór piosenkarkę Sheenę Easton, więc sekwencja może uchodzić za formę wideoklipu. Był to rok 1981, a MTV nie zdążyło jeszcze rozpowszechnić tej formy promocji muzyki. W „Casino Royale” zaś zrezygnowano z modelek – tutaj bohaterem był Daniel Craig walczący z karcianymi motywami.

O tym, jak ważna jest sekwencja otwierająca dla filmów o Bondzie, można się przekonać, oglądając „Nigdy nie mów nigdy”. W tej nieoficjalnej przygodzie Bonda wyprodukowanej bez udziału rodziny Broccolich pojawia się jedynie plansza z kilkudziesięcioma kopiami napisu „007”. Najazd na jeden z nich odsłania właściwą akcję filmu. I choć w filmie zagrał sam Sean Connery, a fabuła bazuje na tekście Iana Fleminga, to podskórnie wyczuwa się, że zawartość prawdziwego Bonda w tej odsłonie to mniej niż 100 procent.

Gdy przed sześćdziesięcioma latami Ian Fleming przystąpił do pisania swej pierwszej powieści, nie spodziewał się, że jej bohater będzie znany na całym świecie. Stało się tak już dziesięć lat później za sprawą filmów, które dotarły do najodleglejszych zakątków. Szacuje się, że trzy miliardy ludzi obejrzało przynajmniej jedną z dwudziestu trzech filmowych przygód Bonda. Dzięki swym charakterystycznym momentom, niektórzy zapamiętują je do końca życia. ■



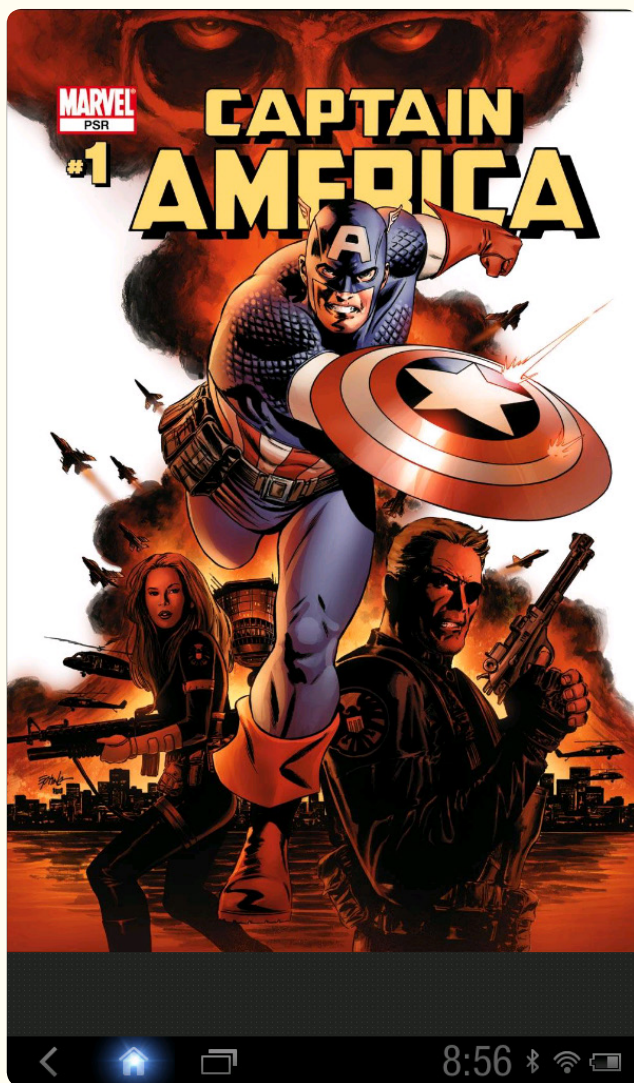
Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz

Michał
Czarnecki

**człowiek-flaga kontra sowiecki superspieg,
czyli zimna wojna w kinie superbohaterskim**

Superherosi to „produkt” na wskroś amerykański, przesiąknięty jankeską dumą, tradycją i przekonaniem o nadrzędnej, przywódczej roli USA jako samozwańczego rozjemcy, żandarma i stróża świata. Powołani do życia w pierwszej połowie ubiegłego wieku, w czasie II wojny światowej wykorzystywani byli w komiksach jako propagandowy sztandar amerykańskiej potęgi i niezłomnego hartu ducha, a później również jako symbol triumfu amerykańskiej nauki i myśli technicznej. Po latach ulegli wreszcie umiędzynarodowieniu, przyjmując w swoje szeregi tłumy superosobników z najprzeróżniejszych części świata (w tym polskiego „Białego Orła”) i rozszerzając obszar swojej działalności daleko poza hermetyczne granice Stanów. Kiedy jednak wszyscy trykociarze w duchu postępującej globalizacji rozpierzchli się ostatecznie po całej galaktyce w poszukiwaniu wyzwań zagrażających już nie tylko samolubnej Ameryce, ale

i innym nacjom, i nawet Superman, który jeszcze w latach czterdziestych zajmował się przede wszystkim tępieniem nazistów, zaczął patrzeć bardziej dalekowzrocznie i zajął się wreszcie problemami całego świata, na placu boju pozostał ostatni, niezłomny i od dziesięcioleci odporny na nowe trendy bastion skrajnie patetycznego, jankeskiego patriotyzmu, symbol walki o tradycyjne ideały – „prawdę, sprawiedliwość i amerykański styl życia” – Kapitan Ameryka. Dzisiaj jednak i ten superbohater – kochający do tego stopnia swój kraj, że od zawsze odziany w narodową flagę – udaje się poza granice swej ojczyzny z zamiarem podbicia światowego Boxoffice’u za sprawą debiutującej w kinach, drugiej, pełnometrażowej części swoich przygód – „Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz”, czyniąc nawet ukłon w stronę sojuszniczej Polski, gdzie zawita na wielkim ekranie tydzień przed światową premierą.

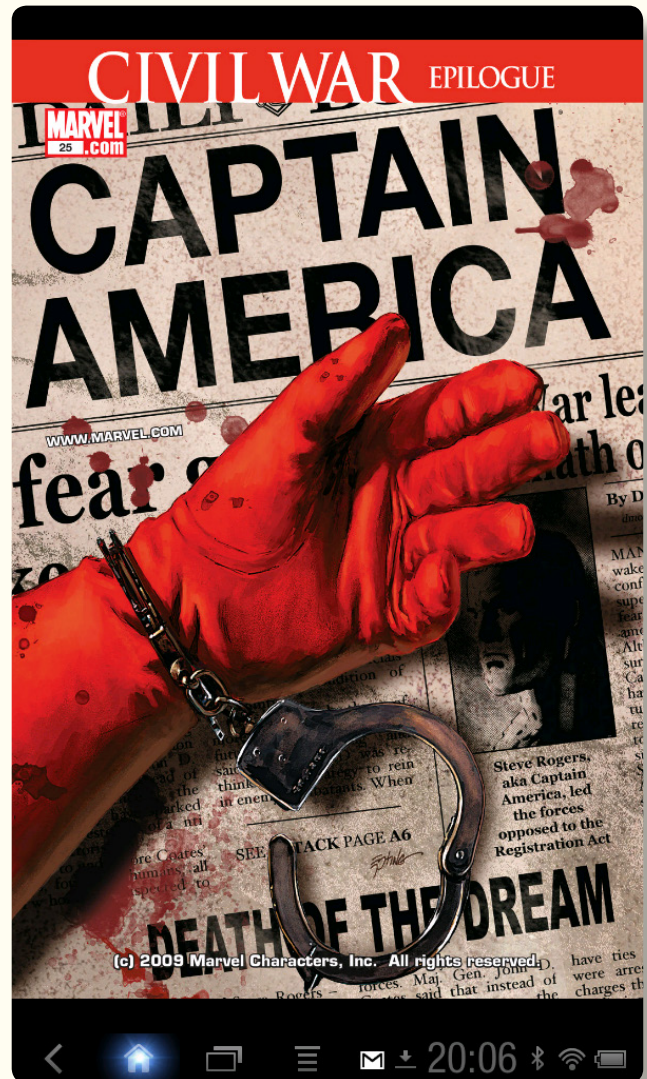


Kapitan Ameryka to nie tylko jeden z pierwszych superbohaterów w historii – za rok stuknie mu już 75 lat! – ale również jeden z najważniejszych symboli Ameryki Północnej. Odziany w strój pełen niezbyt subtelnych nawiązań do sztandaru USA, z podarowaną mu według komiksowej mitologii przez samego prezydenta Roosevelta nieodłączną, niezniszczalną tarczą w narodowych barwach, niczym chodząca reklama amerykańskiego patriotyzmu od zawsze stanowił ucieleśnienie jankeskiej dumy i szacunku dla krótkiej,

acz naznaczonej spektakularnymi zwycięstwami historii kraju. Steve Rogers, bo tak brzmi prawdziwe imię bohatera, zamieniony dzięki eksperymentalnemu serum z prostego, wątłego chłopaka o potężnej sile ducha, idealistycznym myśleniu i niebywatej miłości do kraju w superżołnierza o niespotykanej charyzmie i zdolnościach przywódczych, przez dziesiątki lat walki na kartach komiksu z wrogami narodu – Czerwoną Czaszką, Baronami Zemo i Struckerem – i przewodzenia o wiele potężniejszym, ale wpatrzonym w niego jak w obrazek superherosom: Hulkowi, Iron-Manowi czy Thorowi, stał się jednym z podstawowych fundamentów amerykańskiego dziedzictwa kulturowego. Do tego zresztą stopnia, że kiedy w 2007 roku władze wydawnictwa Marvel Comics – właściciele praw do postaci Kapitana – zdecydowali się uśmiercić bohatera na kartach komiksu „Captain America” # 25, tę smutną dla miłośników obrazkowych historii z USA wiadomość szeroko komentowano w dniu premiery zeszytu obok najważniejszych wydarzeń dnia w niemal wszystkich poważnych, światowych mediach. I chociaż sam fakt, że ktoś ginie w świecie superbohaterskim jest tak samo zaskakujący, jak zjedzenie śniadania czy wyprowadzenie psa – wszak od lat praktycznie każdemu komiksowemu herosowi śmierć na kartach komiksu zdarza się co najmniej jeden raz w karierze – to w przypadku Kapitana nawet jego komiksowy zgon w następstwie wydarzeń spektakularnej, superbohaterskiej wojny domowej, w której opowiedział się za tradycyjnymi, amerykańskimi ideałami i wartościami – sprawiedliwością i wolnością, a którą przez wzgląd na te ideały przegrał na własne życzenie, miała o wiele więcej sensu niż pełne fajerwerków śmierci Supermana

czy Spider-Mana z rąk kosmitów i szalonych naukowców. Kapitan długo zresztą w zaświatach pozostać nie mógł – podobnie jak niemal każdy z komiksowych herosów, któremu kiedykolwiek zdarzyło się zginąć – zwłaszcza, że skoro kiedyś przeżył kilkadziesiąt lat zamrożony w bryle lodu (dzięki czemu jest dziś jedynym dziarskim seniorem w superbohaterskim gronie o metryce identycznej, jak data wydania pierwszego komiksu z jego udziałem), więc jakaś błaha, zabłąkana kulka po prostu nie mogła trwale zakończyć historii jego życia. Dziś Kapitan dalej ma się dobrze i pomimo kilku drobnych zgrzytów, jak na przykład zniszczenie jego podobno niezniszczalnej tarczy z adamantium i vibranium (w historii „Siege”) dalej przewodzi Mścicielom (i to nawet dwóm różnym składom jednocześnie), wraz z którymi na kartach komiksu udało mu się ostatnio przegonić z Ziemi paskudnego tytana Thanosa i jego morderczych sługusów.

W dzisiejszych, multimedialnych czasach prawdziwą miarą popularności superbohatera jest już nie ilość komiksowych tytułów, w których występuje, a przede wszystkim obecność herosa na dużym ekranie i wysokość przychodów generowanych przez widzów spragnionych jego aktorskich popisów. Kapitan Ameryka wprawdzie zadebiutował na tym polu bardzo wcześnie, bo już trzy lata po debiucie, w wyświetlanym w kinach czarnobiałym serialu z 1944 r., w którym o dziwo nie nazywał się Steve Rogers i nie miał swojego znaku rozpoznawczego – tarczy, niemniej jednak na pełnoprawny, wysokobudżetowy film czekał zdecydowanie dłużej niż gwiazdy wydawnictwa DC – Superman i Batman – bo niemal pół wieku. Co gorsza, efekt finalny – obraz „Kapitan Ameryka” studia 21st Century Film (nie mylić z 20th Century Fox) – nie dość,



że okazał się olbrzymim rozczarowaniem i do dziś uważany jest za podrzędne kino klasy „B” i jednocześnie jeden z najgorszych obrazów superbohaterskich w dziejach, to jeszcze przez nieustanne przesuwanie premiery nie dostał nawet szansy zaprezentować się widzom na wielkim ekranie, trafiając finalnie do dystrybucji w formacie VHS. Obraz bazujący na oryginalnej, komiksowej mitologii bohatera, ukazujący zmagania zbudzonego po pięćdziesięciu latach lodowej hibernacji Kapitana Ameryki (w tej roli Matt Salinger) z Czerwoną Czaszką mógł ostatecznie podobać się jedy-

nie młodszym widzom – również ze względu na kategorię wiekową „od 13 roku życia”, do której został zaklasyfikowany – do oglądania przez których nawiasem mówiąc również nie specjalnie się nadawał, choćby ze względu na obecność sceny, w której od zawsze przecież szlachetny i w miarę możliwości humanitarnie wojujący Kapitan ... obcina kobiecie głowę (!) za pomocą swojej nieodłącznej tarczy.

Kolejną szansę na podbicie wielkiego ekranu Kapitan Ameryka otrzymał trzy lata temu wraz z premierą filmu „Kapitan Ameryka: Pierwszy starcie” wchodzącego w skład superbohaterskiej, filmowej ofensywy Marvela. I chociaż powierzenie tytułowej roli Chrisowi Evansowi, aktorowi kojarzonemu z głupkowatym obrazem „To nie jest kolejna komedia dla kretynów”, mającemu już za sobą również superbohaterski epizod – rolę „Ludzkiej Pochodni” w dwóch częściach bardzo słabej „Fantastycznej Czwórki” 20th Century Fox – wydawało się posunięciem bardzo ryzykownym, podobnie jak sama próba wprowadzenia w XXI wieku na ekrany kin bohatera o bardzo archaicznym anturazie i nazbyt konserwatywnych poglądach, efekt finalny nie zawodzi. Historia czerpiąca garściami z komiksowego pierwowzoru zgrabnie wiąże się z resztą filmowego uniwersum Marvela dzięki umieszczeniu asgaardzkiego artefaktu rodem z filmów o Thorze w centrum zainteresowania arcywroga Kapitana – Czerwonej Czaszki (w tej roli jak zawsze świetny Hugo Weaving). Efekty – jak zawsze u Marvela – stoją na wysokim poziomie. Sam Evans zresztą również sprawia niezłe wrażenie, prezentując tężyznę fizyczną adekwatną do granej postaci i o wiele lepszy warsztat aktorski niż w czasach „Fantastycznej Czwórki”. Owszem – charyzmy i powagi komiksowego pierwowzoru trochę

mu brakuje, ale to po części wina również samego klimatu filmu, który zgodnie z polityką Marvel Studios często (chwilami nazbyt) kładzie nacisk na elementy humorystyczne.

Od czasu debiutu w filmowym uniwersum Marvela Kapitan Ameryka pojawił się na dużym ekranie jeszcze dwa razy – w superbohaterskiej zbieraninie „The Avengers” z 2012 r., gdzie pełen słusznych wątpliwości co do sensowności paradowania w kolorowych łaskach w rzeczywistości XXI w. starał się przystosować do nowych czasów, w finale stawiając pierwsze udane kroki na drodze do objęcia funkcji lidera najpotężniejszych obrońców Ziemi, oraz krótkiej, humorystycznej scenie w zeszłorocznym Thorze, gdzie zachwalał Bogowi Piorunów superbohaterską naturę drzemiących w spodniach „przymiotów”. Prawdziwy test dla postaci filmowego Kapitana Ameryki jednak dopiero nadchodzi wraz ze zbliżającym się wielkimi krokami obrazem „Kapitan Ameryka: Zimowy żołnierz”. I trzeba przyznać, że balon oczekiwań został tym razem napompowany do granic możliwości. Wszystkiemu winny przede wszystkim zapowiadający się rewelacyjnie scenariusz będący – miejmy nadzieję – w miarę wierną kalką oryginalnej, komiksowej historii Steve’a Eptinga i Eda Brubakera, wydanego również w Polsce nakładem Hachette. Człowieka-flagę dopada jego przeszłość, a konkretnie dawny najlepszy przyjaciel i kompan z pola walki, Bucky Barnes, po sowieckiej lobotomii stojący tym razem po drugiej stronie barykady. Niezwykle obiecująco wyglądają same trailery obrazu: z całą masą efektownych scen akcji, z czarnoskórym herosem – Falconem, Czarną Wdową, rewelacyjnie prezentującym się, tytułowym Zimowym żołnierzem i Kapitanem w stroju bliskim temu, jaki Rogers

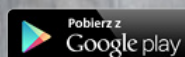
nosił w komiksie w czasach, gdy przewodził organizacji S.H.I.E.L.D. I nic to, że pojawiające się co i rusz plotki, że odgrywana przez Roberta Redforda postać to tak naprawdę Czarna Czeszka, już na wstępie odbierają nam nieco radości z odkrywania kart. Z tak dobrą, jak na kino superbohaterskie, podstawą dla scenariusza, doświadczeniem, które Marvel zdobył na polu filmowym przez ostatnie lata i szeroko zakrojoną promocją tego po prostu nie można zepsuć. Zwłaszcza, że „Zimowy żołnierz” ma być również głównym obrazem marvelowskiej, trzeciej fazy filmowej kładącym podwaliny pod kolejny, wspólny występ Mścicieli w nadchodzącym obrazie „Avengers II: Era Ultrona”. O tym, jaki ostatecznie okaże się efekt finalny przekonamy się już 26 marca. ■



Prasa Na Tablety

Łazienki

Kabiny prysznicowe, armatura, ceramika łazienkowa, płytki, wanny, akcesoria, hydromasaże, porady, projekty łazienek...



Obraz i Dźwięk

Nowe technologie w zasięgu ręki. Ciekawe produkty audio, foto i wideo. Telewizory, projektory, monitory, aparaty, kamery, słuchawki i głośniki. Rynkowe trendy i wydarzenia, porady warsztatowe, testy aparatów...



www.prasanatablety.pl



Oszukać czas

czyli Niezniszczalni na tropie tajemnicy wiecznej młodości

Michał
Czarnecki

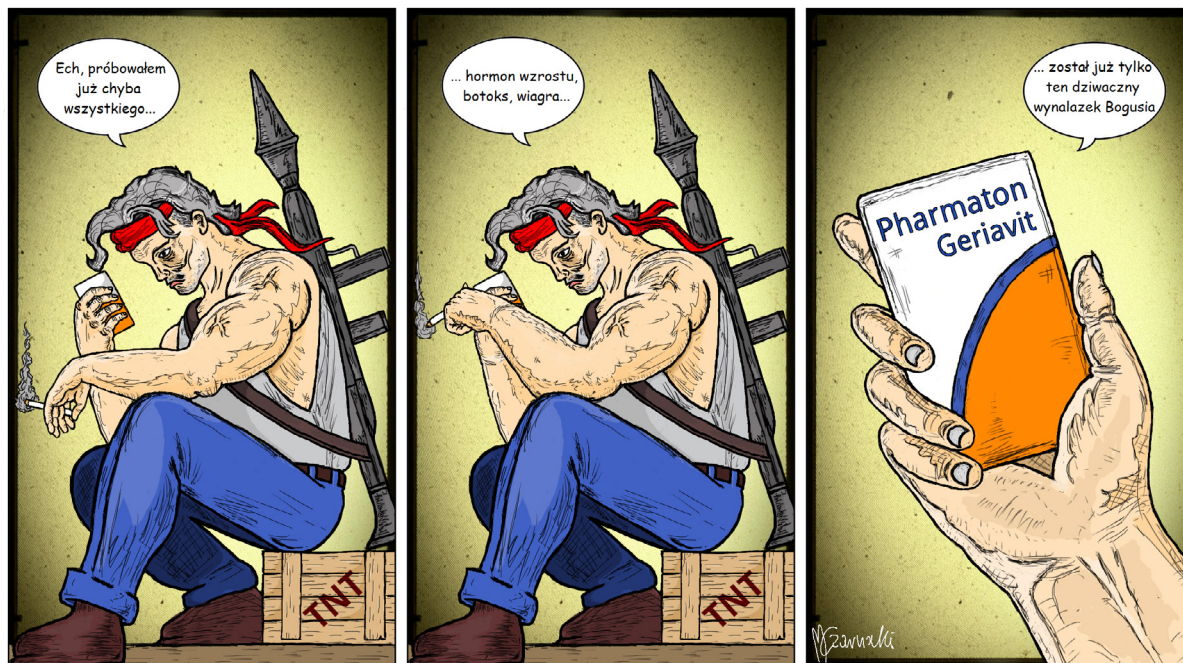
John Rambo na widok leciwego dwupłatowca ofiarowanego mu przez Johna McClane'a wycedził ze zdumieniem: „Powinien stać w muzeum”. „Jak my wszyscy” – odparł z nieskrywanym smutkiem towarzyszący mężczyznom Jack „Terminator” Slater (dla przyjaciół „Conan” albo „Egzekutor”). Trzej przyjaciele od flaszki i obrzyzna uparli się, że jednak do muzeum nie pójdą i pomimo łupania w kościach, reumatyzmu, próchnicy i nawrotów sklerozy postanowili zrobić wszystko, aby jak najdalej odwlec moment odejścia na emeryturę...

„Niezniszczalni 2”, 2012

Coś bardzo niedobrego stało się ostatnio z naszymi ukochanymi bohaterami z dzieciństwa. Sylvester Stallone, Arnold Schwarzenegger, Bruce Willis, Jean-Claude Van Damme, Steven Seagal i jeszcze kilku innych herosów z dawnych lat zapadło na trawiące połowę hollywoodzkiej populacji mężczyzn po sześćdziestątkę schorzenie: tak zwany „syndrom Benjamina Buttona”. Mówiąc krótko – przebrzmiali gwiazdorzy kina akcji z lat osiemdziesiątych, chcąc usilnie udowodnić światu, że pomimo upływu lat wciąż są prawdziwymi „samcami Alfa”, osiągnęli zupełnie odwrotny efekt: zniewieścieli. Bo jak tu inaczej nazwać fakt, że niegdyś groźni panowie, dziś – niczym dojrziałe panie faszeringujące się botoksem i Photoshopem w nadziei, że wciąż będą postrzegane jako piękne i młode – zaczęli łykać na potęgę hormonu i całymi seriami kręcić filmy, w których nie dość, że niszczą wszystko naokoło jak za dawnych lat, to jeszcze obowiązkowo ucierają nosa towarzyszącym im He-Manom nowego pokolenia, rozpaczliwie dowodząc, że czas na zmianę warty jeszcze nie nadszedł. I nie ważne, że jeszcze tak niedawno, to jest w dwóch kolejnych częściach „Niezniszczalnych”, współ-

nie na potęgę wyśmiewali swoje krwawe dziedzictwo i postępującą z wiekiem niemoc – wystarczy spojrzeć na tegoroczne produkcje z superdziadziusiami w rolach głównych, aby dostrzec jak na dłoni, że jednak bardzo chcą cofnąć czas.

Stallone w „Kulą w łeb” obowiązkowo więc prezentuje dziś swoje mięśnie i nabrzmiałe od hormonów żyły (za ów tajemniczy eliksir młodości przyszło mu zresztą słono zapłacić – pieniędzmi i wizerunkiem – kiedy został złapany przy próbie wwiezienia specyfiku na teren Australii), pojedynkuje się na topory w epickiej walce jeden na jednego z uzurpatorem do tytułu Schwarzeneggera XXI wieku – znanym z „Gry o Tron” i remake’u „Conana” Jasonem Momoa, którego zresztą krwawo pokonuje, aby w finale pochwalić się... „nową superbryką”, bo „przeć się raz się żyje”. Co na to Arnie? Ano Arnie nie chce być gorszy i w odpowiedzi rusza do kin ze swojsko brzmiącym „Likwidatorem” (pasuje jak ulał do poprzednich filmów aktora – „Egzekutora”, „Terminatora”). Filmem całkiem zabawnym, lecz niestety równie nierealnym, zwieńczonym trzydziestoma minutami strzelaniny i spektakularnym pojedynkiem młodego, sprytnego łotra



ze starym wygą, który – pomimo, że niemal śmiertelnie ranny – ze stoickim spokojem, niczym ściana przyjmuje razy od młodszego przeciwnika, aby potem totalnie go upokorzyć. Nie inaczej zresztą wyglądają ostatnie produkcje Bruce Willisa. Nie dość, że wymienił żonę na młodszą, to jeszcze po niezłych „Surogatach”, w których dał się sportretować jako stary, zmęczony życiem człowiek, znowu kręci filmy, gdzie jako doświadczony bohater amerykańskiej policji („Szklana Pułapka 5”) rozpracowuje intrygi z Czarnobyłem w tle. Swoimi poczynaniami i tekstem: „ja robię to wciąż lepiej szczeniaku” ośmiesza swego spadkobiercę, syna i błyskotliwego agenta C.I.A. w jednym, tudzież bryluje jako legenda służb specjalnych („G.I. Joe: Czas Kobry”), gdy rozbiera grupę wysportowanych, dysponujących niesamowitymi gadżetami terrorystów przy użyciu bogatego arsenału broni, ukrywanego w... szufladach kuchennych. O dokonaniach panów Van Damme’a i Seagala nie ma nawet co wspominać – obaj, od ponad dekady kręcą niekończące się cykle niskobudżetowych

filmów akcji, w których pomimo upływającego czasu i rosnącej nadwagi wciąż podskakują i kopią o wiele młodszych przeciwników. I chociaż niedawno wydawało się, że nareszcie pojawiła się mała iskierka, drobne światełko w tunelu – że w całym tym pokracznym zastępie starszych panów z flaczejącymi mięśniami, chwytających się każdej szansy, aby udowodnić światu, „że jeszcze mogą”, znalazł się wreszcie ktoś, kto patrzy trzeźwo na świat – nasz wspaniały Boguś „Franz Maurer” Linda, który miast faserować się botoksem, lubczykiem i hormonami beztroško oświadczył w telewizji: „Tak, mam tyle lat ile mam” i bez napinania się zaczął tykać witaminki dla jurnych staruszków. Jednak nagle ni stąd, ni zowąd odciął się od swojej świeżo „przypiętej gęby” sympatycznego pana po sześćdziesiątce, na powrót przywdział maskę terminatora w serialu „Paradoks” i – jakby tego było mało – nagle zaczął reklamować... wodę ognistą.

Ech, nawet pomimo postępującej osteoporozy oni wszyscy chyba naprawdę już na zawsze pozostaną prawdziwie niezniszczalni. ■

THOR

gromowładny

Michał Czarnocki

*mitologiczny rodowód,
komiksowy styl
i filmowa kariera*

Gdyby Jan Parandowski, twórca słynnej „Mitologii” żył w dzisiejszych czasach, z pewnością przecierałby właśnie oczy ze zdumienia, widząc jak niewiele trzeba, aby przedmiot nieco infantylnych, archaicznych wierzeń Starego Kontynentu i symbol znieawidzonego, edukacyjnego przymusu przekuć w barwną ikonę popkultury XXI wieku. Grunt bowiem, to umiejętne podejście do kultury. O ile więc w naszej pięknej ojczyźnie od dziesiątek lat panie polonistki bezskutecznie próbowały epickimi bajkami o żyjących pośród chmur gromowładnych bufonach i patetycznych herosach odwrócić uwagę dziesięciolatków od bliższych młodemu sercu, współczesnych bohaterów: bramkostrzelnego Roberto Baggio (drzewiej) czy „boskiego” Cristiano (dziś), o tyle Amerykanie poszli po rozum do głowy i znaleźli skuteczny sposób, aby pokazać młodym jankesom, że bohaterowie pradawnych, europejskich wierzeń mogą być tak samo „cool”, jak Jay-Z, LeBron i bezkresna broda Kerry’ego Kinga ze Slayera. W rezultacie najśłynniejsza postać mniej znanej niż grecka, ale równie barwnej, nordyckiej mitologii – bóg piorunów i burzy Thor – po amerykańskiej naturalizacji od pół wieku kojarzony jest przede wszystkim z postacią klasycznego, komiksowego superherosa rodem z kolorowych zeszytów Marvela, kamrata Kapitana Ameryki, Iron-Mana i Hulka.

Chris Hemsworth w filmie „Thor. Mroczny świat”.
Reżyseria Alan Taylor, scenariusz Christopher Yost, Christopher Markus i Stephen McFeely. Dystrybucja Disney. © foto: Marvel.

Po roku od ostatniego pełnometrażowego występu u boku marvelowskich „Mścicieli” powrócił na ekrany kin, tym razem w drugiej odsłonie swoich samodzielnych przygód, aby po raz kolejny zmierzyć się z wyrodnym bratem Lokim, zagwarantować odpowiedni zwrot z inwestycji producentom rodzącej się w niemałych bólach kontynuacji debiutanckiego obrazu z 2009 roku, a przede wszystkim – ugruntować swoją pozycję... największego przystojniaka w klubie mocarnych miłośników kolorowych kalesonów.

O ile nordycka mitologia – nawet, jeśli nie mniej atrakcyjna niż grecka i rzymska – nie zdobyła na świecie aż tak dużego rozgłosu, jak starożytne wierzenia ludów z basenu Morza Śródziemnego, o tyle już sam Thor dorobił się we współczesnej kulturze statusu porównywalnego z pozycją najpopularniejszych bohaterów homerowskiej „Iliady”. A to za sprawą superbohaterskich komiksów Marvela i ich filmowych adaptacji, licznych odniesień do postaci gromowładnego boga obecnych w literaturze, grach wideo, a nawet epickich, heavy-me-



THOR - POWTÓRKA Z LITERATURY

Thor – bóg piorunów i burzy, syn najwyższego z nordyckich bóstw, patrona wojny Odyna - narodził się jako wytwór pradawnych, politeistycznych wierzeń ludów północno-germańskich osiadłych na terenach dzisiejszej Skandynawii. Wedle wierzeń wikingów, podobnie jak jego nadprzyrodzeni towarzysze z dynastii Asów, Thor zamieszkiwał podniebny Asgard (z racji pochodzenia będąc dziedzicem jego tronu) - boskie królestwo, które wraz z pozostałymi ośmioma mitycznymi krainami - Midgardem (siedzibą ludzi), Vanaheimem (królestwem bogów z dynastii Wanów), Jotunheimem (królestwem lodowych i kamiennych olbrzymów), Muspelheimem (krainą ognistych olbrzymów), Alfheimem (światem jasnych elfów), Svartalfheimem (królestwem ciemnych elfów), Nidavellirem (krainą krasnoludów) i Nilfheimem (krainą umarłych) tworzyło wszechświat, zwany w nordyckich podaniach Drzewem Świata (Yggdrasil). Thor, przedstawiany jako rosy, jasnowłosy młodzieniec z nieodłącznym atrybutem władzy i siły – gromowładnym młotem Mjolnirem o właściwościach bumerangu – budził podziw, uchodząc za jednego z najpotężniejszych mieszkańców dziewięciu krain, który z każdej opresji wychodził z podniesioną głową. Podobnie jak wszyscy Asgardzycy nie był nieśmiertelny, swoją długowieczność zawdzięczając jedynie złotym jabłkom z kosza bogini wiosny - Idun, i jak większość powinowatych bogów z dynastii Asów poległ podczas nordyckiego odpowiednika chrześcijańskiej apokalipsy - Ragnaroku (dosłownie zmięzchu bogów), zatruty zabójczym jadem węża Midgardu, potwornego Jormunganda, którego wcześniej zgładził w najbardziej epickiej – jak opisywały ją pradawne podania Północnych Germanów - walce w historii świata.

talowych hymnach długowłosej braci z całego świata (w tym również legendy polskiego hard-rocka z lat osiemdziesiątych, grupy Turbo, której w utworze „Legenda Thora” – w ramach ślepych poszukiwań rymu do słowa „wszak” – niefortunnie przydarzyło się sportretowanie syna Odyna jako... czterogłowego ptaka). Jakby tego było mało, to właśnie asgardzkiego boga piorunów, a nie jego słynnych, boskich kolegów z konkurencyjnego Olimpu, uhonorowało wiele ludów Starego Kontynentu (rzecz jasna – głównie północnoeuropejskich), nazywając czwarty dzień tygodnia „Dniem Thora” (angielski „Thursday”, fiński „Torstai”, etc.), ostatecznie zapewniając synowi Odyna prawdziwą nieśmiertelność, której – wedle nordyckich wierzeń – zabrakło mu podczas Ragnaroku.

Komiksy Marvela

W tak barwnym i tętniącym życiem świecie, jakim jest rojące się od kolorowych superbohaterów i nie mniej jaskrawych superzłoczyńców marvelowskie uniwersum, pojawienie się niepokonanego przybysza z samego Nieba nie mogło pozostać niezauważone, a ścieżki coraz śmielej poczynającego sobie w świecie śmiertelników boga piorunów prędzej czy później po prostu musiały przeciąć się z losami lokalnych, odzianych w gustowne kalessy obrońców ludzkości. Dlatego też Thor już rok po swoim komiksowym debiucie, tym razem na łamach zupełnie nowej serii, „The Avengers”, wraz ze świeżo poznaną czwórką superbohaterów: Iron Manem, Hulkiem, Wasp i Ant-Manem uformował pierwszy skład Mścicieli – najśłynniejszej, marvelowskiej grupy do zadań specjalnych, do powstania której impulsem stały się nieczne poczynania wyrodnego i wyjątkowo przebiegłego, „przyszywanego” brata Thora – bożka intryg, Lokiego.





THOR - POCZĄTEK

Asgardzki władca burzy i piorunów w superbohaterskim uniwersum Marvela zawitał w 1962 roku, debiutując na łamach 83. numeru serii „Journey into Mystery” z inicjatywy – jakże by inaczej – ówczesnego sternika Domu pomysłów i ojca niemal wszystkich pierwszoligowych herosów wydawnictwa, Stana Lee (przy wydatnym współdziałaniu autora fabuły pierwszego numeru z gromowładnym Asgardczykiem na okładce – a prywatnie rodzzonego brata Stana Lee - Larry’ego Liebera, oraz odpowiedzialnego za stronę graficzną Jacka Kirby’ego). Lee, chcąc stworzyć bohatera jeszcze potężniejszego od mającego już wówczas za sobą swój komisowy debiut Hulka, postanowił do krainy superbohaterów przemieścić postać samego boga, inspirację czerpiąc z mniej znanej i wyeksplotowanej niż grecka i rzymska, a przez to stwarzającej dla autora i współpracujących edytorów więcej pola do twórczego opisu mitologii nordyckiej.

Aby związać jasnowłosego rezydenta niebios z losami ludzkości, Lee wprowadził autorski patent: postać ziemskiego awatara gromowładnego boga, amerykańskiego doktora medycyny - Donalda Blake, który za sprawą znalezionej podczas pobytu w Norwegii magicznej laski był w stanie przeistaczać się w potężnego, zesłanego w tajemniczy sposób na Ziemię i dotychczas „uśpionego” władcę piorunów.

W swoim pierwszym występie nieświadomemu celu swej ziemskiej obecności Thorowi przyszło zmierzyć się z inwazją pokracznych, kamiennych stworów z Saturna. Po jej odparciu, powróciwszy do wątpliwej, ludzkiej postaci, Blake’a opuścił Skandynawię wraz z tajemniczym znaleziskiem (w chwili boskiej transformacji jego właściciela zmieniającym się w potężny artefakt – dobrze znany z północno-germańskiej mitologii, miotający piorunami młot-bumerang Mjolnir). Na miejsce świeżo rozpoczętej superbohaterskiej działalności wybrał kontynent amerykański. W kolejnych numerach serii twórcy wyjaśnili tajemnicę ziemskiego wygnania Thora, tłumacząc je decyzją Odyna, który chciał nauczyć aroganckiego, pozbawionego wspomnień syna odpowiedzialności za losy słabszych. A do tego świetnie nadawał się ziemski Midgard - świat wątpliwych śmiertelników oczekujących na każdym kroku boskiej pomocy. Sam Thor ostatecznie odzyskał pamięć o swym boskim dziedzictwie, stając się tym samym bohaterem niezwykle zapracowanym dzielącym obowiązki wojowniczego opiekuna pomiędzy swój niebiański lud a ziemskich towarzyszy (w tym wybrankę serca, śmiertelniczkę Jane Foster). W ich obronie musiał mierzyć się zarówno z całą gamą zagrożeń rodem z nordyckich i greckich podań (między innymi lodowymi gigantami z Jotunheimu i występującymi zarówno w roli wrogów, jak i przyjaciół Olimpijczykami – Aressem i Herkulesem), jak i różnej maści klasycznymi łotrami znanymi z innych komiksowych serii Domu pomysłów – Absorbing Manem, Mephisto czy Juggernautem.



W ostatnim dziesięcioleciu Thor, jako stały członek kolejnych składów Mścicieli, brał udział we wszystkich najważniejszych wydarzeniach komiksowego uniwersum Marvela. Sprowadził na Ziemię swoje królestwo, Asgard, które aby uniknąć jurysdykcji ziemskich nadzorców superbohaterskiej społeczności, organizacji S.H.I.E.L.D. zlokalizował w powietrzu, dwa metry nad polami Broxton w stanie Oklahoma. Pomógł też ziemskim herosom odeprzeć inwazję rasy wrogich, zmiennokształtnych Skrullów z kosmosu (w trakcie eventu „Sekretna Inwazja”) i stał się świadkiem za-

dzięki dobrodziejstwu cyfryzacji, pierwszy historyczny występ marvelowskiej inkarnacji Thora na kartach 83. numeru serii „Journey into Mystery” z sierpnia 1962 roku jest dziś dostępny do darmowego pobrania z witryny wirtualnego sklepu „Marvel Comics”, zlokalizowanego na mobilnych platformach Apple Appstore i Google Play.

głady swego domu i śmierci jej nieumyślnego przewodnika – brata Lokiego (event „Siege”). Ostatecznie sam zginął podczas „Fear Itself”, po okupionym najwyższą ceną zwycięstwie nad paskudnym stryjem, bogiem strachu Serpentem. Ale, że w marvelowskim komiksie nikt i nic nie ginie na zawsze, standardowym zwyczajem bóg piorunów szybko powrócił do świata żywych, aby wspomóc Mścicieli w bratobójczej walce z mutantami podczas „Avengers vs. X-Men”.

Obecnie, po dokonanej w ubiegłym roku przez Dom pomysłów totalnej redefinicji komiksowego katalogu wydawnictwa, Thor w dalszym ciągu odgrywa kluczową rolę w uniwersum Marvela, występując na łamach zarówno solowej serii „Thor: God of Thunder” (gdzie ostatnio mierzył się z bodaj najbardziej wymagającym przeciwnikiem w historii – Rzeźnikiem bogów), jak i dwóch różnych serii o przygodach Mścicieli: „The Avengers”, gdzie w ramach najnowszego eventu Marvela, „Infinity”, wraz z podstawowym składem Mścicieli walczy właśnie z siłami szalonego Tytana Thanosa (znanego z finałowej sceny filmowych „The Avengers”), oraz serii „The Uncanny Avengers”, gdzie jako członek specjalnie uformowanej „drużyny jedności Mścicieli”, składającej się z przedstawicieli klasycznego składu Avengers oraz kilku wytypowanych mutantów



z zespołu X-Men stara się pokazać światu, że po wyniszczającej wojnie superbohaterów z mutanami ludzie i rasa homo sapiens superior, a przy okazji również jeden nordycki bóg, potrafią koegzystować i walczyć ramię w ramię we wspólnej sprawie). Zmian wydawniczych nie przetrwała natomiast pierwsza w historii i do niedawna najstarsza z komiksowych serii z bogiem piorunów w roli głównej (ostatnimi czasy skupiająca się na drugoplanowych postaciach z asgardzkiego otoczenia Thora), „Journey into Mystery”, która w bieżącym roku zakończyła swój żywot na numerze 655.

Gdyby nie Thor i jego niecny braciszek Loki czołowi superbohaterowie Marvela prawdopodobnie nigdy nie znaleźliby dobrego pretekstu, aby zebrać się pod szyldem „Mścicieli” – najpotężniejszej i najbardziej dochodowej grupy superherosów w historii komiksu. W zasobach tabletovej biblioteki Marvela na urządzeniu z systemem Android i iOS znajdziemy zdigitalizowaną (i specjalnie podkolorowaną) wersję ich pierwszego spotkania i pojedynku z bożkiem intryg – pierwszego numeru serii „The Avengers” z września 1963 roku.

Nie tylko Thor, czyli antyczni herosi w komiksie superbohaterskim

Thor, choć niewątpliwie jest prekursorem i najbardziej znanym przybyszem z mitycznych niebios w świecie amerykańskiego komiksu, nie posiada wcale monopolu na łączenie boskich obowiązków i superbohaterskiej działalności non-profit. W samym tylko uniwersum wykreowanym przez Dom pomysłów, obok nordyckiego boga piorunów i jego towarzyszy z Asgardu znalazło się miejsce dla bohaterów kolebki starożytnego politeizmu – olimpijskich bogów i pół-bogów z kojarzonej dziś przede wszystkim z finansami i bankrutem Grecji. Przeglądając rozmaite inkarnacje nieustannie zmieniającego się przez ostatnie pięćdziesiąt lat składu Mścicieli znajdziemy więc chociażby Herkulesa, który swego czasu przejął nawet na własność solową serię o przygodach Hulka (pomimo zachowania oryginalnej numeracji przemianowaną na ten czas z „The Incredible Hulk” na „The Incredible Hercules”), czy uwielbianego przez fanów, niepokornego boga wojny, Aresa, który u schyłku pierwszej dekady XXI udzielał się jako członek prorządowej grupy Mighty Avengers, spełniając funkcję bojowej.

Również drugie największe wydawnictwo komiksowe na świecie – amerykańskie DC Comics, znane z przygód Batmana i Supermana – nie omieszczało już dziesiątki lat temu wprowadzić do swego portfolio bohaterki ze starożytnych wierzeń greckich, księżniczki i ziemskiej ambasadorki mitycznego plemienia wojowniczych Amazonek, która nie dość, że jako Wonder-Woman z miejsca stała się najpopularniejszą i najpotężniejszą heroiną uniwersum DC oraz podstawową członkinią tamtejszego odpowiednika Mścicieli, Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwości, to jeszcze ostatnimi czasy – po liftingu katalogu DC pod szyldem „New 52” – zajęła zarezerwowane dotychczas dla Lois Lane miejsce oficjalnej sympatii Człowieka ze Stali.

Z komiksu na wielki ekran

Kiedy władarze Domu pomysłów zachęceni sukcesem filmowej ekranizacji przygód Iron Mana z 2008 roku – pierwszej samodzielnej produkcji wytwórni Marvel Studios powołanej do życia przez Marvela z chęci zaprzestania dzielenia się zyskami z zewnętrznymi podwykonawcami z Hollywood – ostatecznie potwierdzili krążące plotki o planach wyprodukowania całej serii filmów o rozmaitych, nadprzyrodzonych postaciach ze swojego, komiksowego portfolio, którą zwieńczyć miałby upragniony przez fanów, wspólny występ superherosów na ekranie pod szyldem „The Avengers”, jasnym stało się, że jednym z bohaterów, którzy pójdą na pierwszy ogień będzie Thor. Tym bardziej, że wydawnictwo odzyskało właśnie prawa do ekranizacji jego postaci, a nowa, komiksowa seria o przygodach

boga piorunów autorstwa znanego pisarza sci fi, J. Michaela Straczynskiego święciła akurat olbrzymie triumfy na rynku wydawniczym. I rzeczywiście – po premierze trzeciego filmu „pierwszej fazy”, obrazu „Iron Man II” z 2010 r., (gdzie „faza” w nomenklaturze Marvela to miara określająca cykl superbohaterskich filmów mających premierę pomiędzy dwoma kolejnymi częściami „The Avengers”), w którym w scenie dodatkowej po napisach końcowych można było dostrzec agentów S.H.I.E.L.D. głowiących się nad tajemniczym znaleziskiem kosmicznego pochodzenia, to jest leżącym we wnętrzu olbrzymiego krateru młotem, nikt już nie miał wątpliwości, że boski spadkobierca tronu Asgardu łąka moment podbije kolejny świat – królestwo wielkiego ekranu.

„Thor” trafił do kin w 2011 roku. W wyprodukowanym za 150 mln dolarów obrazie (każdy zainwestowany przez Marvela dolar ostatecznie zwrócił się trzykrotnie) aż roziło się od gwiazd światowego formatu. Na ekranie pojawili się między innymi laureaci Oscara – Natalie Portman (w roli Jane Foster) oraz sam sir. Anthony Hopkins, który zgodził się wcielić w postać boga nad bogami, pana wojny i wojowników, Odyna. Niewielki epizod na ekranie zaliczyła również Rene Russo, portretując matkę Thora, królową Frigę. Role głównych bohaterów, boga piorunów i jego filmowego antagonisty, boga intryg – Lokiego powierzono dla odmiany młodym, niewyeksplloatowanym przez Hollywood obywatelom Korony Brytyjskiej – Australijczykowi Chrisowi Hemsworthowi i kojarzonemu raczej z produkcjami telewizyjnymi Anglikowi – Tomowi Hiddlestonowi. Decyzje personalne specjalistów od castingu okazały się strzałem w dzie-

siatkę. Hiddleston, dzięki swojej błyskotliwej, emocjonalnej grze z miejsca stał się ulubionym i jednocześnie trudnym do zaszufłakowania filmowym łotrem, Hemsworth – choć może nie tak zdolny jak Hiddleston – nie dość, że został błyskawicznie zaakceptowany przez fanów marvelowskiej wersji boga piorunów, to jeszcze dzięki swojej olimpijskiej (czy raczej asgardzkiej...) fizys i filmowej charakteryzacji – przez którą niejednokrotnie mylono go z Bradem Pittem – zyskał wyjątkowy poklask żeńskiej części publiczności. Scenariusz filmu – oparty między innymi na pomysłach J. Michaela Straczynskiego, który wraz ze Stanem Lee zaliczył nawet małe epizody na ekranie – przedstawiał intrygę Lokiego, skutkiem której było wygnanie pozbawionego mocy i magicznego młota Thora na Ziemię. Film z powodzeniem wprowadził do uniwersum Marvela barwnych bogów nordyckich (jednego z nich – wszytkowidzącego i wszytkoszyjącego Heimdała, portretując nawet niezgodnie z mitologicznym kanonem jako ... czarnoskórego) oraz kolejnego Mściciela – łucznika Hawkeye'a.

Bóg piorunów po sukcesie swojego filmowego debiutu nie dał widzom długo czekać na swoje kolejne występy – na ekrany kin powrócił już rok później, razem z Hawkeyem, Iron Manem, Hulkiem, Kapitanem Ameryką i Czarną Wdową, w wyczekiwanym przez fanów finale pierwszej fazy marvelowskiej ofensywy filmowej – obrazie „The Avengers”. Mając świadomość statusu, jaki wśród publiczności zyskał jego psotny brat nie omieszkął zabrać ze sobą również Lokiego, którego nieczne działania – ku uciesze milionów fanów na całym świecie – stały się osią fabuły filmu oraz przyczynkiem do zjednoczenia początkowo nieufnych wo-



bec siebie, superbohaterskich indywidualności. I chociaż Loki ostatecznie został pokonany wspólnymi siłami bohaterów i odeskortowany przez Thora przed asgardzki sąd, a w finale obrazu wyszło na jaw, że za jego intrygą stały działania kogoś o wiele potężniejszego – Tytana Thanosa (który w wydawanych aktualnie za oceanem komiksach Marvela bezlitośnie pustoszy właśnie Wszechświat) nie zmienia to faktu, że swoim wrodzonym podstępem – a przede wszystkim błyskotliwą grą Hiddlestona – po raz kolejny ukradł film bratu, który z racji natłoku towarzyszących superbohaterów nie miał tym razem zbyt wiele okazji do „wykazania się”. Oczywiście poza obowiązkowym i pełnym efektów specjalnych pojedyn-



Chris Hemsworth w filmie „Thor: Mroczny świat”.
 Reżyseria Alan Taylor, scenariusz Christopher Yost,
 McFeely. Dystrybucja Disney © foto: Marvel.

kiem „zapoznajemy” z Iron Manem i Kapitanem Ameryką oraz garścią zabawnych nieporozumień wynikających z niemożliwych do pogodzenia „różnic kulturowych” pomiędzy Ziemią a Asgardem.

Dziś Thor, po zaledwie kilkunastomiesięcznej przerwie od hollywoodzkiego splendoru, znów szaleje na ekranach kin w kontynuacji swoich solowych przygód – obrazie „Thor: Mroczny Świat”. I znów schemat jest podobny jak poprzednio – znów to, czego Hemsworth nie dogra, to „dowgląda”, a jego drobne, aktorskie braki z powodzeniem swoją grą przy-

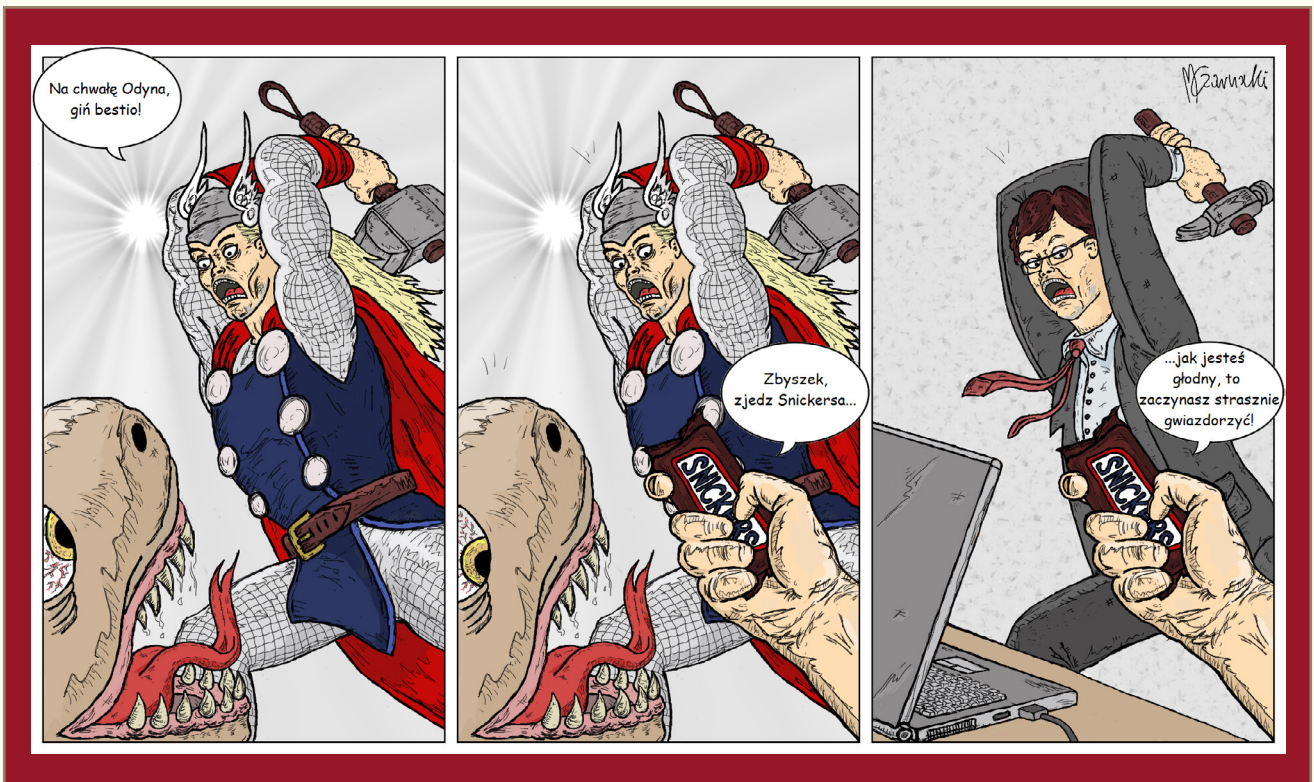
ćmiewa, doskonały jak zawsze, Hiddleston. I chociaż filmowego Lokiego jest tu zdecydowanie mniej niż w „jedynce” i „Mścicielach” – w końcu nie jest tu już głównym złoczyńcą, a jedynie postacią drugiego planu – to i tak swą charyzmą, a chwilami również szyderczym humorem bije wszystkich pozostałych bohaterów na głowę (zwłaszcza w scenie, w której przyjmując postać Kapitana Ameryki wychwala skrywane pod rajtuzami... superbohaterskie „przymioty”). Zresztą, jeśli chodzi o humor, cały film idzie ścieżką wytyczoną przez tegoroczną, trzecią odsłonę przygód

Iron Mana. Film chwilami jest tak ujmująco śmieszny, że na sali kinowej zamiast ciosów boskiego młota i gromów z jasnego nieba częściej słycać nieposkromiony, beztroski rechot zgromadzonych widzów.

Zapowiadało się jednak, że przedsięwzięcie zakończy się klapą. Przez ostatnie sześć miesięcy trwały jeszcze intensywne „dokrętki” wynikające z rzekomego niezadowolenia włodarzy Marvela z pracy reżysera, Alana Taylora. Produkt finalny, skorygowany między innymi dzięki interwencji na planie Jossa Whedona – reżysera „Mścicieli”, bije na głowę swego poprzednika z 2011 roku – tak pod względem fabularnym, jak i finansowym (w chwili obecnej, czyli po dwóch tygodniach obecności w kinach, zarobił już więcej niż „jedyńka” przez trzy miesiące wyświetlania). A co najważniejsze, to jeszcze nie koniec

przygód Asgardczyków – w końcu Thor powróci już za dwa lata w kolejnej części „Mścicieli”. Ponadto reperkusje jego filmowej walki z Malekithem możemy zobaczyć już teraz, w ósmym odcinku nadawanej w USA serii „Agenci S.H.I.E.L.D.”, a jest i szansa również na przyszłe występy Lokiego. Zgodnie z przeciekami z tegorocznego konwentu komiksowego w San Diego, podczas którego odziany w asgardzką szatę Hiddleston nagrodzony został historyczną wręcz owacją publiki, prowadzone były bowiem podobno rozmowy na temat gościnnego udziału „bożka intryg” w jednym z kolejnych odcinków „Agentów S.H.I.E.L.D.”.

Pozostaje więc tylko trzymać kciuki i liczyć na dalszą, filmową ekspansję nordyckich Bogów – tak na dużym, jak i na małym ekranie. ■



GWIAZDY z recyklingu

Michał
Talarek

W filmie „Kongres” – najnowszym dziele Ariego Folmana, twórcy „Walca z Bashirem” – główna bohaterka zyskuje niesamowitą moc nad starzeniem się. Dzięki rozwojowi technologii poddaje się skanowaniu swojego ciała dzięki czemu zachowa wieczną młodość. A ponieważ pracuje jako aktorka, jest to dla niej zbawienie od losu. Jej wirtualny wizerunek zostanie wykorzystany do kolejnych filmów, zaś ona nie będzie już musiała pracować. Ale diabelski pakt zakłada, że nie będzie miała wpływu na dobór ról. Zyski jednak zdecydowanie przewyższają straty. Scenariusz filmu bazuje na utworze Stanisława Lema sprzed niespełna czterdziestu lat i wcale tak bardzo nie odbiega od współczesnej rzeczywistości.

Kilka lat po publikacji prognostycznego opowiadania Lema zmarł Bruce Lee, legenda kina akcji. Był na początku wielkiej kariery, lecz nie doczekał premiery swego pierwszego hollywoodzkiego filmu. Pokrzyżował tym samym plany wielu producentom z Hong-Kongu. Nie chcieli pogodzić się ze śmiercią człowieka, dzięki któremu ich kino – dosłownie – dostało kopa. Za sprawą Bruce’a moda na kopane filmy rozprzestrzeniła się na cały świat. Obawiano się, że widzowie nie będą chcieli oglądać filmów bez ulubionego gwiazdora. Rynek zaczęły zalewać „brucepodobne” filmy, w których pojawiali się łudzaco do niego podobni aktorzy o takich pseudonimach, jak Bruce Le czy Bruce Li. W jednym z takich filmów Lee walczył nawet z Draculą i Jamesem Bondem. Ostatecznie sobowtóry Bruce’a Lee utworzyły podgatunek kina zwany „bruceploitation”.

Z tego powodu pojawiły się naciski, by dokończyć ostatni film prawdziwego Lee, „Grę śmierci”. Zadania tego podjął się reżyser „Wejścia smoka”. Poza oczywistym użyciem sobowtóra w ciemnych okularach (często filmowanego w dalekich planach), wykorzystał on również wstawki z innych filmów Lee oraz jego... kartonowe wycinanki. Zagrały one w ujęciach, gdzie od bohatera nie wymagano żadnej akcji. Mieszanka starych fragmentów filmów, sobowtóra i kartonowych nadruków zyskała jednak swoich fanów, choć z prawdziwym Lee wykorzystano zaledwie 20 minut materiału. Producenci poszli za ciosem i wkrótce przygotowali sequel, do którego włączono – rzekomo – cudem odnalezione niewykorzystane ujęcia z oryginałem. W fabule drugiej części „Gry śmierci” nie uciekano od pastiszu – pojawiły się w nim aż trzy klony zmarłego aktora!

Wątpliwej jakości filmy z sobowtórami ery analogowej nie zakończyły jednak fenomenu „gwiazd z recyklingu”. Wraz z rozwojem animacji komputerowej zaczęto stopniowo przenosić coraz bardziej skomplikowane obiekty CGI na ekran. Efekty te zazwyczaj służyły wizualnemu wzbogaceniu fabuły o ważne postacie. Tak było z nieżyjącym Marlonem Brando, którego archiwalne zdjęcia jako ojca Supermana użyto w przedostatniej części przygód herosa. W „Terminatorze 4” w jednym z epizodów pojawiła się cyfrowa twarz młodego Schwarzeneggera (odtworzona na podstawie pierwszej części cyklu). Natomiast w sequele „Tronu” Jeff Bridges zagrał dwie role jednocześnie – współczesnego bohatera oraz jego o trzydzieści lat młodsze alter ego. Cyfrowe redukcje zmarszczek i zagęszczanie włosów przyniosło całkiem przekonujące efekty.

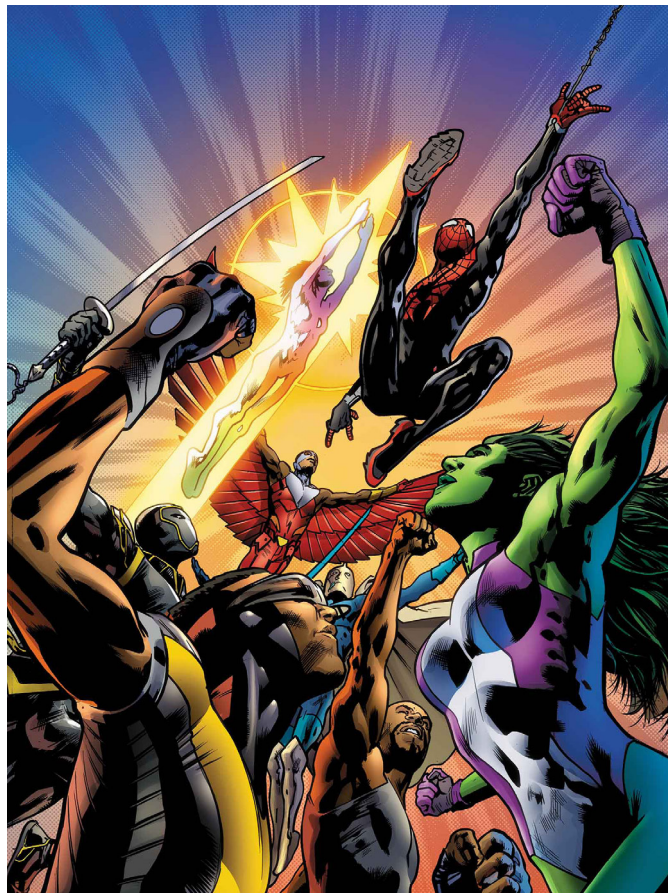
Możemy się spodziewać, że moda na retro-aktorów w wersji CGI prędko nie przeminie. Po reklamie czekoladek z nieżyjącą Audrey Hepburn przyszedł czas (znów) na Bruce’a Lee i... whisky. Na podstawie zeskanowanych ujęć aktora stworzono jego wirtualny wizerunek, który był w stanie poruszać się naturalnie i przekonująco. Wykorzystanie aktora w reklamie alkoholu zostało odczytane przez fanów za profanację, ale twórcy spotu konsultowali się z córką mistrza Shannon Lee, która zajmuje się utrwalaniem kultu swojego ojca. W końcu jeśli bieżące gwiazdy nie stanowią autorytetu to zawsze można sięgnąć do archiwów legend i ikon. Już bowiem reklamą kosmetyków zajęła się – przywrócona sztucznie do życia – Marylin Monroe.

Lem sugerował problemy przyszłości na długo przed pojawieniem się ich przyczyn. Jaka szkoda, że choć potrafimy już niemal doskonale odwzorować ciało i sposób poruszania się dowolnego aktora, to jeszcze przed nami długa droga, by odtworzyć czyjś umysł i jego sposób myślenia. Ot, choćby takiego Lema. A nuż wiedzielibyśmy, do czego to cyfrowe klonowanie nas doprowadzi. ■

Mighty Avengers (2013)

Michał Czarnocki

Mighty Avengers
(2013) #1 – #3
Marvel Comics
Data premiery:
2013-09-11 (MA #1)
2013-10-02 (MA #2)
2013-11-06 (MA #3)



Znany wszystkim wielbicielom komiksów Dom Pomysłoww przyszłym roku będzie hucznie celebrować obchody siedemdziesięciopięciolecia swojej obecności na rynku, zamiast, jak inne relikty przemijającej ery druku, zniknąć w odmętach niepamięci. A to dlatego, że jednym z najcenniejszych jego aktywów jest niewątpliwie „trzymanie ręki na pulsie” przez kolejnych sterników Marvela i nadążanie za dokonującym się każdego dnia postępowaniem cywilizacyjnym. I nie chodzi tu jedynie o progres technologiczny, w duchu którego wydawnictwo z powodzeniem godzi „stare” z „nowym”, rozszerzając tradycyjne, analogowe zeszyty o wartość dodaną technologii „rzeczywistości rozszerzonej” i kody dostępu do cyfrowych kopii komiksów – długowieczność Marvela to również zasługa otwarcia na dynamiczne zmiany w sferze społeczno-obyczajowej, które przez lata nie omijały bohaterów obrazkowych historyjek wydawnictwa.

To w końcu właśnie Marvel swego czasu, jako pierwszy w na łamach mainstreamowego komiksu przedstawił bohatera o orientacji homoseksualnej (debiutującego w 1979 r. na kartach 120. numeru serii „Uncanny X-Men” Northstara) i oficjalnie zalegalizował jego związek z innym superherosem tej samej płci (w szeroko komentowanym zarówno przez przemysł komiksowy, jak i przez poważne światowe dzienniki informacyjne, między innymi brytyjski Guardian, przełomowym, 51. numerze serii „Astonishing X-Men” z 2012 r.). To również Marvel po raz pierwszy ożywił na kartach komiksu bohatera borykającego się z problemami tożsamości płciowej (zmiennokształtnego, czy raczej zmiennokształtną Xavin z serii „Runaways”), wprowadził do ekstraklasy amerykańskiego komiksu pierwszych czarnoskórych herosów (między innymi małżeństwo afrykańskich wojowników – Mściciela Black Panthera i mutantkę Storm czy pierwszego Afroamerykanina w trykotach – Sama „Falcona” Wilsona). Po latach, kiedy karty komiksów wypełniły się postaciami o różnym pochodzeniu etnicznym, zdecydował się nawet poświęcić życie Petera Parkera, bardziej znanego światu jako Spider-Man, tylko po to, by w duchu politycznej poprawności maskę i obowiązki pajęczego herosa przekazać czarnoskóremu młodzieńcowi, Milesowi Moralesowi (w pobocznej rzeczywistości „Ultimate” będącej alternatywną wersją głównego uniwersum Marvela). Dziś, kiedy na świecie ostatecznie zapanował pluralizm, Marvel postanowił pójść za ciosem i po licznych, udanych próbach wprowadzenia do swojego komiksowego kontinuum pojedynczych postaci o różnej orientacji i różnym kolorze skóry, odważył się powołać do życia pierwszą w historii „Mścicieli” egzotyczną inkarnację flagowej grupy superherosów, którą – ze względu na bezprecedensowy, marginalny



udział w jej składzie przedstawiciele rasy białej – można by spokojnie określić mianem „Avengers of Harlem”.

W świecie Marvela najczęściej jest tak, że każdy kolejny, coroczny event wydawnictwa – inwazja obcych, globalny kataklizm, wojna domowa, etc. – przynosi ze sobą kolejne wielkie przetasowania i zmianę krajobrazu uniwersum skutkującą na przykład pojawieniem się nowej wersji głównego składu Avengers i jego rozmaitych, pobocznych odłamów. Nie inaczej sprawa ma się również w przypadku „Potężnych Mścicieli” autorstwa duetu Al Ewing/Greg Land, gdzie głównym przyczynkiem do sformowania nowej, zaskakującej odłony grupy jest jeden



z aktów historii „Infinity (tegorocznego, głównego eventu Domu pomysłów) – inwazja na Nowy York sił szalonego Tytana, Thanosa poszukującego na niebieskiej planecie jednego ze swoich licznych potomków z nieprawego łoża, z nieskrywanym zamiarem uśmiercenia bogu ducha winnego bękarta. A ponieważ akurat żadnego z kilku aktualnie funkcjonujących składów Mścicieli nie ma „w mieście”, zamiast ekip dowodzonych przez Kapitana Amerykę (główniej, chwilowo zaangażowanej w kosmiczny konflikt z „Budowniczymi” i zdominowanego przez mutantów „składu jedności” tymczasowo nękanego przez śniętych Jeźdźców Apokalipsy) czoła kosmitom stawić musi zorganizowany na-

prędce „ruch oporu” w postaci przypadkowej zbieraniny nielicznych, pozostałych na miejscu herosów.

W samym centrum wydarzeń spotykamy więc oto dawno niewidzianego w komiksach Marvela Luke’a Cage’a – przedwcześnie emerytowanego Avengersa o niezniszczalnej skórze (rzecz jasna – koloru czarnego), który po ubiegłorocznym zawieszeniu członkostwa w grupie Mścicieli stara się jak najlepiej pełnić rolę ojca i męża, okazjonalnie parając się fachem herosa do wynajęcia świadczącego odpłatne usługi „oczyszczania” miast z drobnych rzezimieszeków (wraz z dwójką młodych pomocników – Portorykanki – White Tiger i czarnoskórego Domikańczyka – Power Mana). W obliczu inwazji do trójki najemnych bohaterów dołączają kolejni, nieco zapomniani herosi o afroameerykańskim rodowodzie – Monica Rambeau alias Spectrum (znana przed laty jako Kapitan Marvel z ówczesnej wersji Avengers), potężny i oświecony, czarnoskóry sobowtór Supermana – Dr Adam Brashear (alias Blue Marvel) oraz tajemniczy, zamaskowany heros w różowej imitacji kostiumu Spider-Mana (z fragmentu oryginalnego skryptu scenarzysty serii, Ala Ewinga, który przypadkowo wyciekł do internetu wiemy już, że pod obciachową maską ukrywa się czarnoskóry łowca wampirów, Blade). Ten jedyny w swoim rodzaju, egzotyczny skład uzupełnia ostatni element układanki – „lepszy” Spider-Man (Dr Otto Octavius w skórze biednego Petera Parkera), wyraźnie poyrtowany obecnością w drużynie swojego pastelowego sobowtóra. Naprędce sklecona grupa niezbyt jeszcze zgranych ze sobą superb bohaterów, z najmniej skorym do współpracy traktującym czarnoskórych towarzyszy jak niepotrzebne kłody pod nogami Pajęczakiem na czele, po trzech numerach zapoznawania

się ze sobą, przekomarzenia i wspólnej walki ostatecznie odnosi sukces, zmuszając do odwrotu paskudnych kosmitów (przy wydatnym wsparciu nowojorczyków prowadzonych „do boju” przez czerstwą babcinę z cegłą w dłoni), pokonując przy okazji również swego pierwszego, poważnego przeciwnika – uwolnionego z innego wymiaru i nastanego na herosów przez koleżków Thanosa ośmiornico-podobnego demona Shuma-Goratha (dobrze znanego miłośnikom Marvela z archiwalnych przygód innego, gościnnie pojawiającego się również tutaj Mściciela – Dr Strange’a).

Całość – choć sprawia wrażenie zdecydowanie przykrótkiej, czyta się nadzwyczaj dobrze. Historię rodzących się relacji międzyludzkich w przypadkowej zbieraniu herosów i pojedynkach z wymachującą zielonymi mackami, zarozumiałą pokraką wprawdzie spokojnie można by uszczegółowić, przedłużając pierwszą „misję” zespołu o jeszcze co najmniej jeden zeszyt, niemniej jednak historia doskonale broni się dzięki dynamicznemu, zabarwionemu niezwykle solidną dawką humoru scenariuszowi Ala Ewinga. Efektu końcowego na szczęście nie psują nawet chwilami zbyt ubogie w szczegóły rysunki najbardziej chyba kontrowersyjnego obecnie artysty w ekipie Marvela, Grega Landa, od lat posądzanego przez fanów o bezwstydną wzorowanie się na zdjęciach z filmów erotycznych podczas pracy nad mimiką i dynamiką postaci. A, że w kolejce na premierę czekają już kolejne odsłony serii, gdzie – zgodnie z zapowiedziami następnymi numerami opublikowanymi wraz z har-



monogramem wydawniczym Marvela na najbliższe miesiące – bohaterów czeka między innymi rozszerzenie składu grupy o kolejnych członków oraz walka o przywództwo pomiędzy Cage’em a niechętnym całej inicjatywie Pajęczakiem (oj Otto, będzie bolało – jak każe sądzić zapowiedź okładki zeszytu nr 5), więc warto pozostać z bohaterami na dłużej i przekonać się, jak potoczą się dalsze losy barwnej ekipy „Ad-hoc-Afro-Avengers”.



Komiksy wydawnictwa Marvel Comics zawierające kody do pobrania cyfrowych wersji na tablety z systemem iOS i Android (za pośrednictwem dostępnej w Apple Appstore i Google Play aplikacji „Marvel Comics”) do recenzji udostępnił internetowy sklep Atom Comics (<http://www.atomcomics.pl>) specjalizujący się w sprzedaży komiksów największych amerykańskich wydawnictw: DC, Marvel, Image, Dark Horse i wielu innych.

The Superior Spider-Man: Darkest Hours

Michał Czarnocki

w(2013-2014) #22 – #25
Marvel Comics
Data premiery:
2013-11-27 (SSM #22)
2013-12-04 (SSM#23)
2013-12-18 (SSM#24)
2013-01-15 (SSM#25)



Co definiuje superbohatera? Co sprawia, że pewnego dnia rezygnuje ze swojej szarej, wygodnej egzystencji zwyczajnego człowieka i wychodzi na balkon, aby narodzić się na nowo i rozpocząć pełne przygód życie zamaskowanego obrońcy uciśnionych? Wreszcie co sprawia, że właśnie ten, konkretny przebieraniec w pewnym momencie staje się ulubionym „stróżem z ludu”, którego przygody śledzimy z zapartym tchem na kartach papieru, tudzież ekranach kin, telewizorów i tabletów? Niesamowita, wrodzona, bądź nabyta „moc”? Hipsterskie gadżety do zwalczania wszelkich przeciwności losu? Modny, przyciągający wzrok tłumów trykocik? A może gustowne, obcisłe kalesony podkreślające skrywane wewnątrz, bardziej okazałe niż u superbohaterskiej konkurencji atrybuty męskości? Nic z tych rzeczy. Prawdziwą miarą wielkości, potęgi i popularności superbohatera są bowiem... jego przeciwnicy.

To dlatego właśnie Batman – niby zwyczajny, zgorzkniały milioner w ponurym stroju – ze swoimi pozbawionymi nadnaturalnych zdolności, za to ekscytująco pokręconymi przeciwnikami: Jokerem, Strachem na Wróble i schizofrenicznym Harveyem Dentem na karku od lat przedkładany jest przez komiksową gawieź nad o wiele potężniejszych kumpi z bardziej globalnymi problemami na głowie, bijąc na głowę nawet archetyp superbohatera, jakim jest Superman. To również dlatego od zawsze najbardziej topowym superbohaterem w portfolio Domu pomysłów jest Spider-Man z całą plejadą swoich oryginalnych i niezwykle barwnych antagonistów – Złowieszczych Szóstek, Kravenów, Jaszczurów, Nosorożców i innych niezrównoważonych rzeźników. O ile jednak u Batmana sprawa jest prosta – jego arcywrog, Joker, jest jednocześnie największym ulubieńcem fanów Gacka często przywoływanym wręcz jako superłotr wszechczasów, o tyle u Pajęczka to nie sprawca jego największych nieszczęść i trosk, Zielony Goblin, lecz pragnący od zawsze „zjeść pajęczy mózdzek” Venom od lat króluje w rankingach popularności, przyprawiając o szybsze bicie serca miliony fanów (zwłaszcza licznych przedstawicieli polskiego pokolenia czytelników pamiętających czasy nadwiślańskiej, „złotej ery” amerykańskiego komiksu). Pytanie jednak, czy te sympatie miłośników pajęczego uniwersum nie ulegną zmianie, jeśli spróbujemy trochę zamieszać i skruszyć ustalone przed laty status quo? Pytanie, co się stanie, jeśli zamienimy bohaterów miejscami – tego dobrego uczynimy złym, a tego złego – tym porządnym, któremu na sercu leżeć będzie wszelakie zło poczynione przez „zepsutego” dobrego?

Na postawione wyżej pytania opowiedzieć stara się historia „Darkest Hours” zaprezen-

towana przez duet Dan Slott-Humberto Ramos na łamach zeszytów #22-#25 serii „The Superior Spider-Man”. Oto naprzeciw siebie po raz pierwszy stają „zły” Spider-Man i dobra inkarnacja symbiotycznego antyherosa – Agent Venom. Po raz pierwszy – bowiem pomimo dziesiątek potyczek, jakie Peter Parker odbył na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza z symbiontem kontrolującym Eddiego Brocka (ulubionego przez Polaków, oryginalnego Venoma) i Maca Gargana (Venoma pierwszej dekady obecnego millenium) tutaj naprzeciw siebie spotykają się już dwie kompletnie różne od swoich pierwowzorów jednostki. Jest więc zły Otto Octavius skrywający przed światem swoje prawdziwe „ja” w ciele Spider-Mana i młodzieńczy kompan oryginalnego Pajęka, Flash Thompson, pełniący od kilku lat ku uciesze fanów Marvela funkcję aktualnego Venoma – skomplikowanego quasi-superherosa, sekretnego członka Avengers, który na co dzień oprócz walki z superłotrami, filadelfijskim światkiem przestępczym i pewnym, paskudnym jątrzyicielem z piekła rodem musi zmagać się z demoniczno-psychopatyczną naturą swojego drugiego, wiecznie łaknącego rozlewu krwi „ja”. Chociaż tak po prawdzie, to w przypadku rozdziału „Darkest Hours” trudno mówić o jakiejś spektakularnej konfrontacji obu kompletnie odmienionych i nieświadomych skrywanych przez siebie tajemnic herosów, bowiem oprócz przyjemnej dla oka potyczki z przełomów zeszytów #22-#23 obu kolegom nie jest dane wymienić więcej ciosów. A to z prostej przyczyny – „lepszy” Spider-Man, dzięki geniuszowi Otto – czy może raczej dzięki nieprawdopodobnemu wręcz szczęściu towarzyszącemu od początku nowemu gospodarzowi ciała Petera, bardzo szybko pozbawia Flasha jego symbiotycznego współpracownika,

nieoczekiwanie samemu stając się nowym, „lepszym” Venomem. Tylko czy aby na pewno nieoczekiwanie?

Tu niestety pojawia się główny – chociaż na szczęście nieobniżający zbyt ogólniej, pozytywnej oceny historii – zarzut w stosunku do cyklu „Darkest Hours”: przewidywalność. Odkąd bowiem w Internecie przedwcześnie opublikowano przykładowe kadry z numeru #24 i okładkę numeru #25 przestał być nagle sekretem fakt, że to właśnie Spider-Man zostanie nowym Venomem. Jakby tego było mało, dzięki kolejnemu bezmyślnemu posunięciu Marvela – zapowiedzi planowanego na wiosnę wstąpienia Agenta Venoma w szeregi kosmicznej drużyny Guardians of The Galaxy (sic!) jeszcze przed pojawieniem się trzeciego aktu „Najczarniejszych godzin” jasnym stało się, że Otto zbyt długo Venomem nie pozostanie, a i samemu Flashowi raczej nic złego się nie przydarzy (wbrew proroctwom fanów oczekujących najgorszego po nagłym anulowaniu serii „Venom”). O taki stan rzeczy trudno jednak posądzać bogu ducha winnych twórców historii – wszystkiemu winny raczej zauważalny ostatnio niezdrowy wręcz pęd wydawców do przedwczesnego ujawniania wszelkich niespodzianek i przecieków różnym, rządym sensacji mediom, oczywiście w imię bycia o krok przed konkurencją i zainteresowania czytelników własnym portfolio. Takie działanie niestety zepsuło w tym przypadku całą misterną intrygę przygotowaną przez Dana Slotta, zdradzając przedwcześnie finał historii. A szkoda, bo scenarzysta naprawdę się postarał, dzięki czemu wszystkie ukazane tutaj wątki: konflikt przestępczych imperiów obu oryginalnych Goblinów (choć czy „Zielony” to na pewno Norman?), problemy Mścicieli z „niekonwencjonalnym” zachowaniem pają-

czego towarzysza i pojawienie się Flasha w Nowym Yorku, splatają się mistrzowsko w jedną, spójną całość, sprawiając wrażenie sprytnie dopasowanej układanki. Podobać może się również pomysł na postać „Superior Venoma” – niezbyt udanej hybrydy wygimnastykowanego człowieka-pajaka, genialnego intelektu dr. Octaviusa i możliwości, jakie zapewnia swojemu gospodarzowi krwiożerczy symbiont. W efekcie mamy pokracznego herosa tytułującego się mianem „zabójczego obrońcy” (oczko w stronę fanów Eddiego Brocka), którego za-burzona, schizofreniczna osobowość karze mu równie surowo co morderców karać przestępców winnych... pisanie sms-ów za kierownicą samochodu. Trzeba jednak przyznać, że Slott w swej wizji w pewnym momencie zapuszcza się jednak trochę za daleko. O ile bowiem zrozumieć można sposób przedstawienia finałowego starcia opętanego bohatera z Mścicielami powstrzymującymi się przed użyciem pełnej mocy przeciwko swemu wieloletniemu kompanowi, o tyle ciężko wytłumaczyć fakt, że nowy, „lepszy” Venom z łotra prezentującego zazwyczaj „uliczny” poziom urasta nagle niemalże do rangi Hulka, którego moc rośnie wraz ze wzrostem adrenaliny, pozwalając mu w pewnym momencie jak gdyby nigdy nic powalić samego Thora.

W ślad za narracją w „Darkest Hours” stara się nadążyć sfera wizualna. I trzeba przyznać, że „lepszy Venom” z paskudnym pyskiem i symbiotycznymi mackami na wzór oryginalnych ramion dr. Octopusa prezentuje się naprawdę złowieszczo. Szkoda tylko, że do zilustrowania całości z dwojga nadwornych rysowników serii – Humberto Ramosa i Ryana Stegmana – wybrano akurat tego pierwszego, którego inspirowany mangą, kreskówkowy styl obfitujący w karykaturalne przerysowania chwilami – na-

wet pomimo złowieszczej prezencji głównego podmiotu – wyraźnie osłabia tutaj mroczny z założenia (i tytułu) charakter historii, zwłaszcza w oczach osób pamiętających Spider-Mana z zamierzonych czasów bardziej „dorosłej” kreski McFarlane’a i Larsena. Trudno jednak się dziwić – wszak to właśnie Ramos ze Slottem wprowadzili swego czas (Amazing Spider-Man #654.1) postać Agenta Venoma na karty komiksu, więc to im jako pierwszym należało się prawo jego skonfrontowania z pajęczym bohaterem. Zresztą, biorąc pod uwagę wyjątkowo nieudaną – delikatnie mówiąc – stronę artystyczną ostatnich numerów skasowanej serii „Venom” trudno nie przyznać, że bohater mimo wszystko nareszcie zyskał oprawę graficzną, na jaką naprawdę zasługuje.

I znowu się udało... Otto, to znaczy Peter Parker po raz kolejny zachował swój sekret, swoją porażkę odwracając w kolejny sukces, swoje paskudne zachowanie tłumacząc przyjaciołom, współpracownikom i rodzinie (MJ wszak była żoną Pająka przed machinacjami Mephisto) wpływem kosmicznego pasożyta (symbiontu?). Dokładnie tak jak spodziewali się narzekający na nudną przewidywalność fani... Czy jednak aby na pewno? Czy naprawdę znowu wszyscy dali nabrać się na bajki upadłego herosa? I w jaki sposób właściwie Otto wyzwolił się ostatecznie spod wpływu symbiotycznego stroju, który znowu wrócił do prawowitego, bardziej zrównoważonego właściciela? Odkrycie odpowiedzi na te pytania pozostawiamy już tobie drogi czytelniku, zachęcając do lektury czterech ostatnich numerów serii „The Su-



perior Spider-Man”. Pytanie tylko, czy w związku z ostatnią – kolejną już – gafą Marvela, czyli ujawnieniem okładki startującego na wiosnę tytułu „The Amazing Spider-Man” zapowiadającego powrót oryginalnego – i na ciele, i na umyśle – superbohatera, a tym samym rychły koniec aktualnej serii, pozostało jeszcze miejsce na jakiegokolwiek zaskoczenie? ■



Komiksy wydawnictwa Marvel Comics zawierające kody do pobrania cyfrowych wersji na tablety z systemem iOS i Android (za pośrednictwem dostępnej w Apple Appstore i Google Play aplikacji „Marvel Comics”) do recenzji udostępnił internetowy sklep Atom Comics (<http://www.atomcomics.pl>) specjalizujący się w sprzedaży komiksów największych amerykańskich wydawnictw: DC, Marvel, Image, Dark Horse i wielu innych.



Marvel Comics

Data premiery:

2013-12-11 (MK: Hulk #1)

2014-01-15 (MK: Hulk #2)

2014-02-19 (MK: Hulk #3)

Michał
Czarnocki

Marvel Knights: Hulk

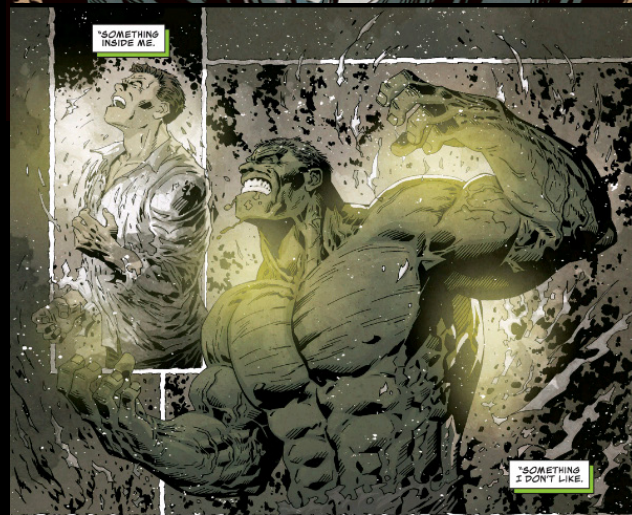
Polska kocha Amerykę. Bezwarunkowo. Kiedy trzeba – ślepo idzie z nią pod rękę na wojnę, a nawet udostępnia jej rąbka własnego podwórka na potrzeby dyskretnych spotkań z osobnikami, których sama niekoniecznie chciałaby u siebie oglądać. Ameryka za to dopiero uczy się kochać Polskę – wszak wiz rozdawać za bardzo jeszcze nie chce, a i jej przeciętny obywatel nawet nie specjalnie kojarzy, gdzie ta bratnia Polska leży. Kojarzy za to polskich bohaterów, traktując ich nawet czasem jak swoich (Ryszard Kukliński vel Jack Strong), z otwartymi rękoma wita polskich sportowców (Marcin Gortat), macha głową w rytm polskiej muzyki (Behemoth), ze smakiem kosztuje polskie trunki. Amerykański przemysł komiksowy, najwyraźniej nie chcąc być gorszym, również zaczyna uczyć się kochać Polaków. I to najwyraźniej od razu z pełną namiętnością, skoro już na jednej z pierwszych randek ofiaruje jednemu z naszych pod opiekę skarb swojego dziedzictwa kulturowego – oryginalnego, amerykańskiego superherosa z krwi i kości, i to od razu pod szyldem gwarantującym polskiemu artyście obecność w szeregu największych tuzów środowiska komiksowych artystów

Sukces Piotra Kowalskiego – bo mowa o polskim artyście komiksowym, którego ilustracje zdobią miniserię „Marvel Knights: Hulk” – jest nie do przecenienia. Dzięki romanowski z „sałatą” Marvela, Polak został bowiem jednym z filarów debiutującego na przełomie bieżącego roku – a właściwie to powracającego po kilku latach zawieszenia – imprintu Domu pomysłów: cyklu „Marvel Knights”. A trzeba pamiętać, że do 2010 r., kiedy ukazała się ostatnia pozycja z logo MK, imprint ten stanowił swoistą enklawę dla najznamienitszych twórców związanych z rynkiem komiksowym, gdzie Marvel pozwalał wybranym artystom (których nazwiska miały być swoistym magnesem na czytelników), zrobić, co zechcą ze swoimi bohaterami, tworząc tym samym przełomowe miniserie. Często ukazywały one zupełnie odmienne od stereotypowego spojrzenie na daną postać – które następnie często przechodziło do komiksowego kanonu. Podobną rolę – miejsca, w którym twórczo będą mogli poznać się nad marvelowskimi postaciami artyści z komiksowej czołówki, imprint „Marvel Knights” ma pełnić również teraz, po restarcie. Dzięki temu „Hulk” Kowalskiego i scenarzysty Joe Keatinge’a ma szansę stanąć obok sztandarowych pozycji z logo „Rycerzy Marvela”, między innymi „Spider-Man: Blue” Jepha Loeba i Tima Sale’a czy wydanych swego czasu również w Polsce przez Mandragorę i Mucha Comics miniserii „Ghost Rider: Road to Damnation” tandemu Ennis/Crain i „Silver Surfer: Requiem” Straczynskiego. Należy jednak w tym miejscu wyraźnie podkreślić, że Piotr Kowalski nie jest osobą przypadkową w tym zacnym gronie, a jego udziału w restarcie szyldu „Marvel Knights” nie można tłumaczyć żadną cudowną karierą od pucybuta do milionera, ani nawet mianem

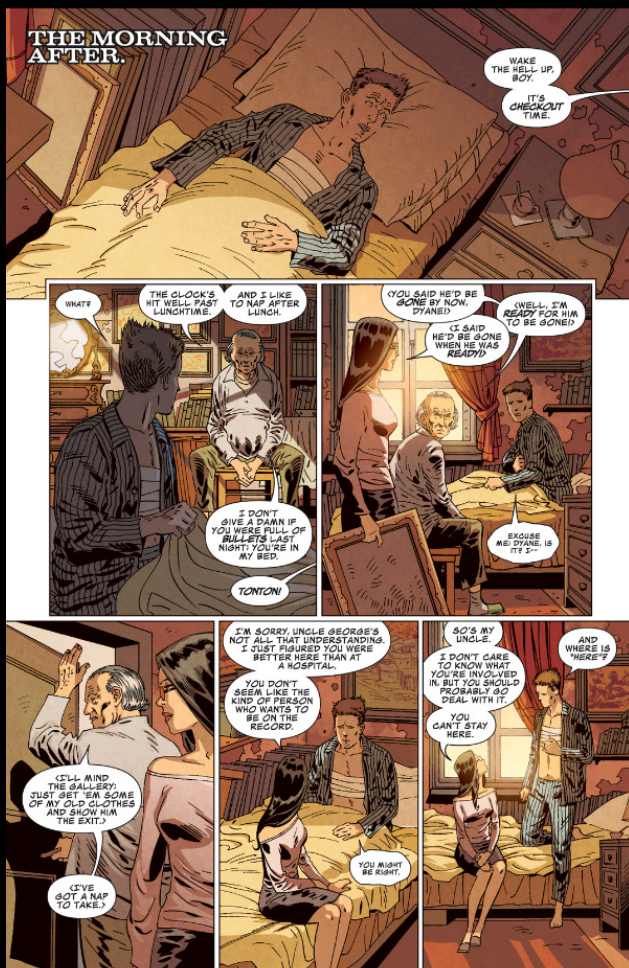


„American Dream”. Sukces Kowalskiego to po prostu owoc ciężkiej pracy, jaką artysta wykonał przez lata, a przede wszystkim zasłużona nagroda dla uznanego i pożądanego twórcy, jakim się stał dzięki ilustrowanej przez siebie serii komiksowej „Sex”, wydawanej przez kroczące za plecami amerykańskich liderów wydawnictwo Image Comics (będące zresztą niepokornym dzieckiem Marvela – a konkretnie części jego zbuntowanych twórców).

Akcja komiksu, powstałego przy współudziale naszego rodaka, rozgrywa się w Paryżu (kolejny europejski akcent obok osoby rysowni-



ka), gdzie spotykamy pobijanego, cierpiącego na amnezję Bruce'a Banner'a – dobrze znanego nam, jako ludzkie alter-ego Hulka – który, w przeciwieństwie do nas, sam nie wie, kim jest, nie kojarzy natury swego wewnętrznego, zzieleniałego ze złości Mr. Hyde'a, i w dodatku sam nie wie, jakim cudem znalazł się nad Sekwaną. Bardzo szybko dopada go jednak własna przeszłość, kiedy zostaje zaatakowany przez kopie swojego wściekłego „Ja”. Pojmany (najpierw przez tych dobrych, potem złych), siłą przemieniony w Hulka zostaje zmuszony do wykonywania poleceń tajemniczej pani z białym loczkiem, związanej z terrorystyczną organizacją A.I.M. Jak zaś w całym tym rozgardiaszu odnajduje się nasz rodak? Trzeba przyznać, że dosyć obiecująco. Z jednej strony bowiem wnosi tutaj swoją dyskretną, europejską kreskę, która w połączeniu z ciekawym scenariuszem sprawia, że numer pierwszy (w większości pozbawiony hulko-podobnych postaci) czyta się – czy może raczej „ogłada” – jak dobry film sensacyjny, w którym dopiero odkrywane są pierwsze, niezdradzające jeszcze dalszego biegu wydarzenia, elementy układanki. Z drugiej strony – kiedy w zgoła odmiennym, pełnym akcji numerze drugim pojawia się Hulk i elementy dobrze znane z marvelowskiego uniwersum (A.I.M., S.H.I.E.L.D), całość sprawia wrażenie, jakby rysowała ją osoba, która na Hulku i marvelowskich projektach zjadła zęby (bardzo dobrze prezentuje się przede wszystkim ostatni kadr numeru drugiego, z Hulkiem rozpoczynającym masakrę członków organizacji A.I.M.). W chwili powstawania niniejszej recenzji nie dysponowaliśmy jeszcze nr 3., a jedynie opublikowanymi przez Marvela „zwiąstunami”, na których pojawiają się złoczyńcy znani ze świata Domu Pomysłów – Dr Doom



NOWY MIESIĘCZNIK O SUPERBOHATERACH



superhero.com.pl



CZYTAJ ONLINE

i M.O.D.O.K. Pozwalają one jednak sądzić, że do końca tej miniserii Kowalski będzie miał jeszcze szansę poeksplorować zakamarki marvelowskiego uniwersum.



Komiksy
wydawnictwa Marvel
Comics zawierające
kody do pobrania
cyfrowych wersji

na tablety z systemem iOS i Android (za pośrednictwem dostępnej w Apple Appstore i Google Play aplikacji „Marvel Comics”) do recenzji udostępnił internetowy sklep Atom Comics (<http://www.atomcomics.pl>) specjalizujący się w sprzedaży komiksów największych amerykańskich wydawnictw: DC, Marvel, Image, Dark Horse i wielu innych.



WORLD OF TANKS

XBOX 360 EDITION

W lutym gra „World of Tanks” ukazała się w wydaniu 360 Edition, czyli przeznaczonym na konsolę Xbox 360. Tytuł jest w pełni przystosowany do specyfiki sterowania konsoli, mechanizm dobierania graczy w bitwach i nowy interfejs użytkownika dopasowano do telewizorów.



Na premierę oddano graczom do dyspozycji ponad 100 kultowych „stalowych bestii” z trzech krajów – U.S.A, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Z biegiem czasu tytuł będzie sukcesywnie rozszerzany o nowe maszyny, nacje i mapy. „World of Tanks: Xbox 360 Edition” posiada możliwość zakupów w grze opcjonalnych dodatków, jak czołgi i konta typu „premium” oraz materiałów eksploatacyjnych. Gra wydana przez Microsoft Studios, a stworzona przez studio Wargaming West jest dostępna w cyfrowej dystrybucji w modelu Free-to-play dla abonentów Xbox Live Gold. Gracze z abonamentem Silver mogą zapoznać się z 7-dniową wersją testową.



XBOX 360 LIDEREM

Warto przy tej okazji wspomnieć, że – jak wynika z danych sprzedażowych sieci detalicznych w Polsce w ostatnim kwartale 2013 roku, konsole do gier wideo utrzymują wysoki udział sprzedaży na rynku sprzętu IT. Popularność tej grupy urządzeń wynika ze zmiany przyzwyczajeń konsumentów, którzy w warunkach domowych coraz rzadziej korzystają z komputerów osobistych, jako platform rozrywkowych, a ich miejsce zajmują właśnie konsole, a głównym czynnikiem wpływającym na zmianę trendów jest popularyzacja kontrolerów ruchomych.

Konsole Xbox 360 kolejny rok z rzędu była najlepiej sprzedającym się urządzeniem w swojej kategorii, co sieci Komputronik i NeoNet, jedni z największych sprzedawców konsol w kraju, tłumaczą trendem rosnącej popularności nowoczesnych technologii o czysto użytkowym charakterze.

Porównując wyniki sprzedaży w grudniu 2012 i 2013 sprzedaż konsol urosła aż o 40%. Największy skok odnotowaliśmy dla produktów Xbox 360, których sprzedaż wzrosła o 70%. Xbox był również niekwestionowanym liderem w 2013 roku, ponieważ jego udział w sprzedaży wszystkich konsol był wyższy niż 70%. – komentował Dominik Gozdek, Dyrektor Działu Zakupów sieci NeoNet.

Niwątpliwie popularność konsoli Microsoft utrzymuje się również dzięki szerokiej ofercie gier wykorzystujących rozpoznawalne i popularne wśród różnych grup konsumentów marki, jak FIFA czy Disney Pixar oraz o atrakcyjnej dla różnych grup wiekowych tematyce, jak gry taneczne z serii Dance Central czy rodzinne gry sportowe spod znaku Kinect Sports. ■





Hearthstone: Heroes of Warcraft

Blizzard szturmuje rynek
komputerowych karcianek

Maciej Krzemiński

Obecnie gry można podzielić na trzy grupy. Najbardziej nagłaśniane wielkie tytuły AAA, zazwyczaj nastawione na „wypasioną” rozgrywkę jednoosobową, tytuły casualowe czyli proste gierki dla osób szukających chwili relaksu podczas codziennej ciężkiej pracy oraz gry online/MMO czyli skomplikowane, wirtualne światy, które pochłaniają graczy na wiele miesięcy, a czasem i lat. Nowa gra karciana online „Hearthstone” pochodząca od giganta gier RPG – Blizzarda nie wpisuje się w żaden z tych schematów. To właściwie gra dla każdego, ale taka, która zapewnia bardzo przyzwoity poziom wrażeń. Jest grą rozbudowaną i skomplikowaną na poziomie zaawansowanym, co czyni z niej bardzo oryginalną propozycję i – jak się już okazało – bardzo popularną pomimo, że na razie będącą w fazie beta.

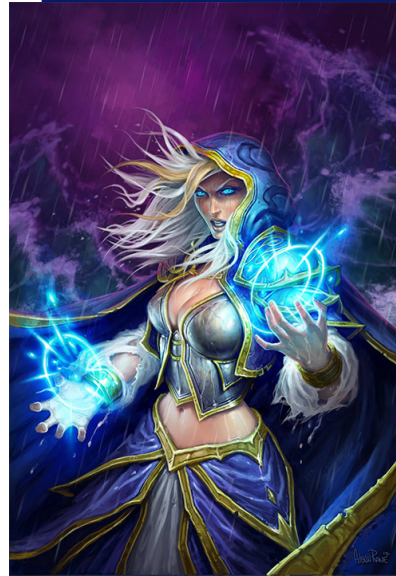
Drogę „Hearthstonowi” przetarła tradycyjna karcianka „WoW TCG”, z której, co ciekawe, zostało zaczerpnięte wiele artworków do gry oraz niektóre elementy mechaniki rozgrywki. „Hearthstone” to strategiczna karcianka 1v1 z dynamiczną rozgrywką przebiegającą w przysłowiowej tawernie w uniwersum „Warcrafta”. Różni się zasadniczo od tradycyjnych gier karcianych. Przed rozpoczęciem rozgrywki musimy wybrać swojego bohatera z puli dziewięciu herosów, którzy posiadają jedyne w swoim rodzaju zdolności specjalne i własne zestawy kart klasowych. Dodatkowo, nasz bohater może odgrywać aktywną rolę w pojedynkach z przeciwnikami. O poszczególnych bohaterach możecie przeczytać szczegółowo w zakładkach obok.

Podstawowe reguły są proste – każdy z graczy posiada 30 punktów życia i co turę zagrywa karty o określonym koszcie liczonym w manie, która to zwiększa się o 1 co turę aż do 10, kiedy osiąga maksymalny poziom. Oprócz kart klasowych, mamy do dyspozycji karty z puli neutralnych.

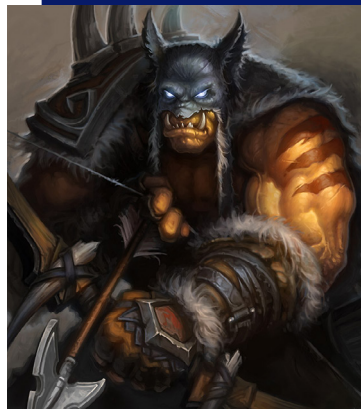
„Hearthstone” posiada wszystkie zalety gry komputerowej takie, jak rozbudowany tutorial czy interaktywny samouczek, podczas którego możemy poznać wszystkie podstawowe strategie i rodzaje. A jest tego trochę – nie trzeba zatem czytać żadnych instrukcji, gra sama uczy nas wszystkich zasad. Rozgrywka jest okraszona komputerowymi animacjami, co w połączeniu z bogatą warstwą muzyczno-dźwiękową daje obraz pełnowartościowej gry komputerowej. Warto tutaj wspomnieć, że Blizzard zapewnił graczom pełną polską wersję językową.

Od czasu kiedy pojawiły się turnieje między innymi takich gier, jak „League of Legends” oraz „Starcraft 2” scena e-sportowa bardzo się rozwinęła na całym świecie. Zyskał na tym „Hearthstone”, ponieważ właściwie z bie-

BOHATEROWIE



Jaina Proudmoore – rasowy mag, który korzysta głównie z magii ognia, potężnych kul ognia i pirowybuchów oraz magii mrozu, dzięki której oprócz zadawania obrażeń może zamrażać wrogów, przez co tracą oni jedną turę. Jej moc specjalna to „Ognisty pocisk: Zadaj 1 pkt. obrażeń.” Brzmi niepozornie, ale jest ona uważana za jedną z najlepszych.

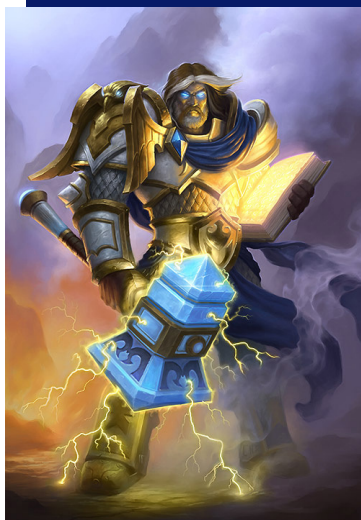


Rexxar czyli łowca, to bohater nastawiony na szybką i agresywną grę dysponujący rzeszą krwiożerczych bestii oraz sprytnych pułapek potrafiących uprzykrzyć mocno życie przeciwnikom. Jego moc specjalna to: „Pewny strzał: Zadaj 2 pkt. obrażeń wrogiemu bohaterowi.”

gu stał się prawną grą e-sportową, która już w obecnej fazie beta posiada sporą scenę – zarówno w Polsce organizowane są turnieje, na przykład poprzez serwis <http://www.hearthcore.pl/> oraz na świecie przez majorleaguegaming.com oraz ESL. Wokół gry tworzą się również zespoły profesjonalnych graczy, którzy wspólnie ćwiczą oraz występują w turniejach zespołowych. Możemy również być dumni, ponieważ mamy reprezentanta naszego kraju w jednym z czołowych zespołów HS'owych – Marcina „Gnimsha” Filipowicza. Były mistrz „WoW TCG” obecnie zajmuje bardzo wysokie miejsce w światowych rankingach oraz jest członkiem Team DogeHouse zrzeszającym najlepszych graczy na świecie.



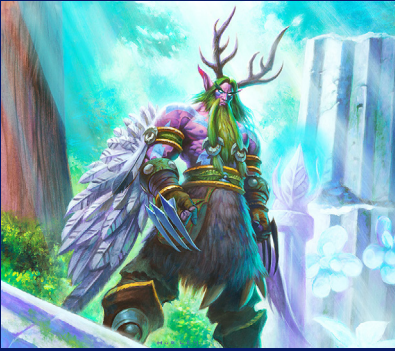
Podsumowując, wszystkich pecetowców zachęcam do zapoznania się z grą już teraz – tytuł jest dostępny za darmo poprzez serwis Blizzarda battle.net. „Hearthstone” pojawi się również na urządzenia mobilne. Dodatkowo Blizzard już zapowiedział, że na premierę zostaną przygotowane dodatkowe funkcjonalności, a wkrótce potem będą cyklicznie wydawane rozszerzenia zawierające nowe karty do gry. ■



Uther Światłodzierzca (paladyn) – uniwersalny bohater potrafiący bardzo efektywnie leczyć siebie oraz swoich stronników. Jego moc specjalna to: „Wsparcie: Przyzwij rekruta Srebrnej Dłoni 1/1”, co pozwala mu na szybkie zbudowanie armii, która za pomocą jego zaklęć zwiększających siłę obrażeń i życie stronników może być śmiertelnym ciosem dla przeciwnika.



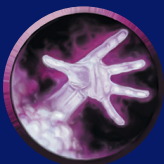
Garrosz Piekłorycz jest jednym z najpotężniejszych wojowników w historii „Warcrafta”. Z pozoru bardzo agresywne kombinacje kart, najlepiej jednak sprawdzające się podczas długiej kontrolowanej rozgrywki. Jego moc specjalna to: „Pancerz! : Otrzymujesz 2 pkt. pancerza.”



Malfurion Burzogniewny – wszechstronny druid, który swoimi czarami kontrolnymi dostosowującymi się do każdej sytuacji jest obecnie uważany za najsilniejszego bohatera w grze. Jego moc specjalna to: „Zmiennokształtność: +1 do ataku w tej turze. +1 do pancerza.”



Thrall – talia szamana zawiera różnorakie wzmocnienia, czary ofensywne, zaklęcia uzdrawiające oraz potężnych stronników. To dosyć wszechstronny bohater należący obecnie do najczęściej wybieranych do grania. Jego moc specjalna to: „Wezwanie totemu: Przyzwij losowy totem.”



Gul'dan. Jego moc specjalna to: „Moc krwi: Dobierz kartę i otrzymaj 2 pkt. obrażeń.” Dzięki niej stary czarnoksiężnik potrafi z łatwością zapewnić sobie przewagę kart, co czyni go strasliwym przeciwnikiem.



Valeera Sangwinar – łotr to specjalista w dziedzinie ataku z zaskoczenia, technik wywiadowczych oraz wszelkich działań powszechnie uznawanych za podstępne. Bohaterka nie należy do najprostszyc do grania, ale za to efekty mogą być bardzo zaskakujące i śmiertelne dla przeciwnika. Jej zdolność specjalna to: „Zabójcze sztylety: Otrzymujesz sztylet 1/2.”



Anduin Wrynn (kapłan) – jego moc specjalna to „Pomniejsze uzdrowienie: Przywróć 2 pkt. zdrowia.” Przy pomocy specjalnych zaklęć zamienia swoją moc na zadawanie obrażeń, co czyni go nieobliczalnym przeciwnikiem. Nie wiadomo, czy tak naprawdę spotkamy kapłana czy raczej „demagoga”.)



Metallica

Michał Czarnocki

Through the Never

Gwiazdy muzyki „głównego nurtu” od zawsze miawały swoje różne, mniej lub bardziej dziwaczne fanaberie. Michael Jackson prowadzał się swego czasu z oswojonym szympansem, Beyonce żądała od organizatorów swoich koncertów zapewnienia w garderobie nowiutkiego sedesu i czerwonego papieru toaletowego, Iggy Pop – zaopatrywania przed występami w garść znielowidzonych brokułów (aby potem mógł je ostentacyjnie wyrzucić do kosza), a Steven Tyler z Aerosmith – conocnego towarzystwa „nałożnic”, uprzednio obowiązkowo potraktowanych mydłem i wodą z prysznicą (bo – jak sam twierdził – „choć myśli miał brudne, ciało musiało być czyste”). Muzyków Metalliki po ich spektakularnym awansie z heavy-metalowej niszy na mainstreamowe salony również nie ominęła ta dziwaczna przypadłość, skutkiem czego zaczęli realizować swoje najrozmaitsze, egzotyczne kaprysy. Na szczęście jednak w przeciwieństwie do większości kolegów po fachu mieszczące się ściśle w ramach ich artystycznej działalności.



Kiedy jednak wydawało się, że po mezaliansowym romansie z grupą filharmoników, ekshibicyjstycznej, „oczyszczającej” psychoterapii na oczach milionów widzów, niezrozumianych przez publikę, surowych aż do bólu albumach „St. Anger” i „Lulu” i zaplanowaniu koncertu na biegunie południowym w towarzystwie rzekomo złaknionych thrash-metalu pingwinów, muzycy wreszcie opamiętują się i zamiast usilnie przekraczać kolejne muzyczne barierę nagrywają w końcu ten nieszczęsny, z dawna oczekiwany album na miarę

ich opus-magnum, „Pana Marionetek” (albo przynajmniej coś na kształt „Czarnej Płyty”), ci wymyślili sobie nową zachciankę: film w 3D z elementami koncertu, fabuły i „fajans-fikszyn” na wzór słynnego „Moonwalkera” Michaela Jacksona. I chociaż wyniki obrazu „Through the Never” w Box Office tego nie potwierdzają, trzeba przyznać, że wyszło im całkiem nieźle.

Rock w kinie to żadna nowość. Przez wielki ekran przewinęła się już przecież cała masa mniej lub bardziej udanych dokumentów o rozmaitych herosach gitary i mikrofonu (vide ubiegłoroczny „Sugarman Man”), koncertów zrealizowanych na potrzeby kinowej dystrybucji („Celebration Day” Zeppelinów, powstałe przy udziale Martina Scorsese „W blasku światła” Stonesów, etc.), filmów fabularnych doprawionych solidną, rockową ścieżką dźwiękową („Iron Man” części I i II, „Spawn”, etc.) oraz różnej maści produkcji z gościnnymi występami popularnych – zazwyczaj wcielających się w samych siebie – rockmanów („Świat Wayne’a” część I i II). Metalikowy „Through the Never” jednak wyróżnia się z całej tej plejady obrazów, jako całkiem udany miks wszystkich wspomnianych form filmowej aktywności rock’n’rolla, doprawiony dodatkowo nowoczesną technologią 3D i szczyptą efektów specjalnych. I właśnie przez pryzmat takiej udanej hybrydy różnych gatunków filmu po-



Metallica:
Through the Never, 2013,
dystrybucja:
Forum Film Poland.

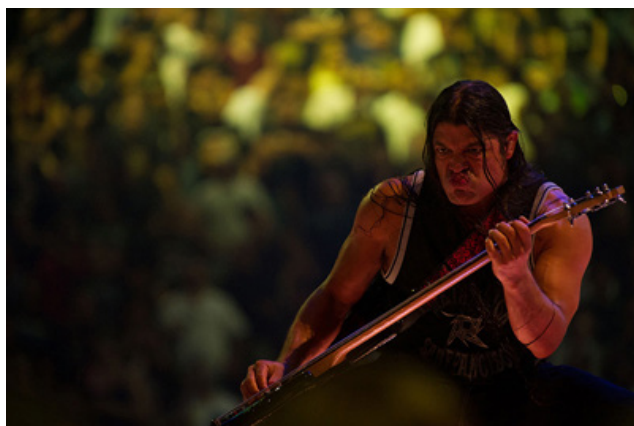
winniśmy rozpatrywać audiowizualne dzieło wyprodukowane przez amerykańskich heavy-metalowców za blisko 20 milionów dolarów, ponieważ jako spójna całość broni się najlepiej. Sam koncert – stanowiący ponad połowę czasu trwania filmu – to bowiem standardowy, pełen ognia występ na typowym dla zespołu wysokim poziomie, gdzie nie dziwi jednak ani jak zwykle nieźle skompilowana setlista, ani zrealizowane z rozmachem smaczki z wybuchającym pomnikiem Temidy i udawanym zanikiem prądu na sali koncertowej, od wielu już lat przecież stanowiące obowiązkowy element koncertów zespołu. Za szczególnie zapierające dech w piersiach trudno uznać również wyrwane z kontekstu, zrealizowane według bardzo prostego scenariusza elementy fabularne sprowadzające się do prezentacji przygód biegającego po mieście pracownika ekipy technicznej zespołu (w tej roli Dan DeHaan), którego podczas próby dostarczenia muzykom tajemniczej torby dotyka szereg nieprzyjemnych zdarzeń – wypadek samochodowy, samospalenie, podtopienie i pojedynki z zamaskowanym, dzierżącym w rękę młot Thora jeźdźcem w centrum ogarniętego zamieszka miasta. Obraz całości zmienia się jednak zdecydowanie na korzyść filmu, kiedy wspomniane, rozłączne elementy połączymy odpowiednim spoiwem: pobrzmiwającymi w tle riffami Hetfielda i niemiłosiernie tnącymi solówkami Hammeta, dynamicznymi ujęciami kamery oraz jakże pożądanym związkem przyczynowo-skutkowym, dzięki czemu fabuła nie tylko zapewnia widzowi chwilę wytchnienia od intensywnej, gitarowej młócki, ale koniec końców wywiera również wpływ na to, co dzieje się na scenie, kiedy nasz bohater uderzeniem odebranego zamaskowanemu antagoniście młota powoduje trzęsienie ziemi i zanik mocy we wzmacniaczach muzyków (jakkolwiek absurdalnie by to nie zabrzmiało). A na dokładkę



dostajemy jeszcze całkiem niezły finał – jakże odmienny od charakterystycznej dla większości kinowych produkcji, kilkuminutowej monotonii napisów końcowych płynących wzdłuż czarnego ekranu – gdzie już po zakończeniu koncertu Metallica świetnym wykonaniem „Orion” zrealizowanym w konwencji kameralnej próby żegna się z nami i swoim spóźnionym kurierem przy asyście nieśpiesznej litanii informacji o osobach uczestniczących w produkcji filmu.

Zainwestowany budżet i osiągnięty efekt artystyczny nie zawsze muszą przekładać się na finalny wynik finansowy. Metallica boleśnie przekonała się o tym przy okazji „Through the Never”, gdzie ani specjalna scena koncertowa wybudowana na zlecenie zespołu za okrągły milion dolarów, ani obecność w obsadzie znanego aktora, ani nawet sama ścieżka dźwiękowa składająca się między innymi z utworów z płyty powszechnie uważanej za największe arcydzieło w historii heavy-metalu nie uchroniły obrazu przed finansową kląpą. Czy to wina kiepskiej – czy może raczej nieumiejętnej – promocji obrazu czy też postępującego od lat trendu na niepłacenie za muzykę? Na to pytanie staram się odpowiedzieć w felietonie „Kradzione nie tuczy”.

Jeśli jednak przegapiłeś – z siebie tylko znanych powodów – seans „Through the Never” na wielkim ekranie, dziś nadarza się okazja na nadrobienie zaległości, bowiem kinowy debiut Metalliki właśnie trafia do powszechnej dystrybucji w formacie DVD/Blu-Ray. I dobrze by było, żeby nieco podreperował nadszarpnięty budżet chłopaków, dowodząc, że jednak jest zapotrzebowanie na tego typu produkcje. Kto bowiem w przeciwnym razie odważy się podjąć realizacji tego typu kosztownego przedsięwzięcia, jeśli nawet dysponujące odpowiednim budżetem gwiazdy zza oceanu nie są w stanie na tym zarobić? ■

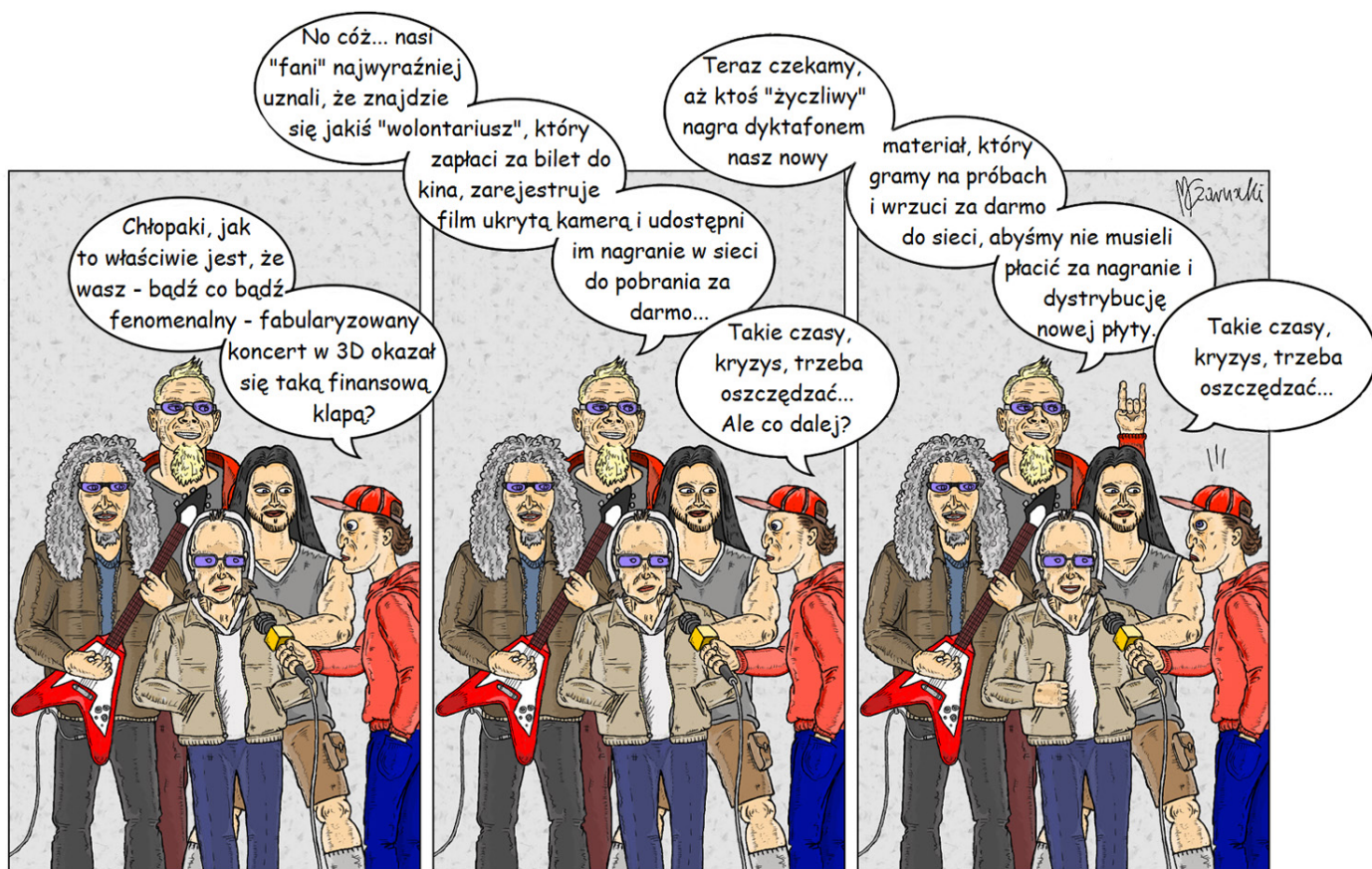


Kradzione nie tuczy

Michał
Czarnocki

Rock'n'roll nigdy nie miał łatwo. „Rock jest martwy” – marudzili od niepamiętnych czasów branżowi żurnaliści i tak zwani „znawcy tematu”, wytykając kolejnym pokoleniom kudłatych szarpidrutów artystyczną stagnację, kurczowe trzymanie się korzeni i brak jakichkolwiek perspektyw rozwoju. „Rock się skończył” – załamywali ręce miłośnicy gitarowych brzmień każdorazowo, gdy ziemski padół opuszczał Hendrix, Elvis albo inny Kurt, tudzież kiedy w późnych latach dziewięćdziesiątych po schyłku ery MTV i flanelowego grunge'u po raz pierwszy od kilku dekad w świecie rocka nagle nie nastąpiło kompletnie nic nowego. „Rock'n'roll umarł” – wykrzykiwali konsekwentnie przez lata w tekstach swoich utworów również sami muzycy: Jim Morrison, Lenny Kravitz, Brian Warner (aka Marilyn Manson), a nawet nasz rodzimy „Grabież” z Pidżamy Porno. Jednak rock, wbrew utyskiwa-

niom malkontentów i manifestacjom droczących się z krytyką rockmanów, wcale umrzeć nie zamierzał. Co więcej – niczym niezłomny monolit trwał przez kolejne dekady, dowodząc, że zawsze będzie zapotrzebowanie na długie włosy, skórzaną kurtkę i jazgot przesterowanych gitar, a konserwatyzm i uporczywe trzymanie się przyjętych przed laty ram to nie żadna wada, lecz oczywista zaleta i gwarancja jakości. I kiedy wydawało się, że tak już zostanie – że wierna swoim korzeniom muzyka niepokornych przetrwa na wieki jako jeden z ostatnich bastionów obrony przed toczącą świat show-biznesu chorobą – koniunkturalizmem, rock ostatnio nagle nieoczekiwanie zaczął podupadać na zdrowiu. A wszystko dlatego, że w epoce dziadka Google'a i niematerialnych nośników muzyki nagle miłośnikom gitarowych brzmień przypomniało się, że przecież tak naprawdę „kradzione nie tuczy”...



„Jak można zgwałcić prostytutkę?” – dopytywał swego czasu pewien rodzimy, święcie przekonany o trafności swego żartu i słuszności wyznawanej retoryki ludowej polityk z samych szczytów ówczesnej władzy. Niestety, dziś równie absurdalnie – i najwyraźniej również bez jakiegokolwiek refleksji – zdają się zachowywać zwolennicy „darmowej” muzyki z różnej maści torrentów, odpierając kierowane pod ich adresem zarzuty retorycznym – w ich mniemaniu – pytaniem: „Jak można ukraść coś, czego nie da się wziąć do ręki?”. Tego typu „argumenty” padały zresztą już dekadę temu, kiedy wielka Metallica, czując podskórnie, w jakim kierunku zmierza cyfryzacja muzyki, toczyła batalię o zamknięcie serwisu Napster darmo udostępniającego milionom użytkowników muzykę w formacie MP3 z całkowitym pominięciem wytwórni muzycznych i właścicieli praw autor-

skich. I chociaż ostatecznie sąd przyznał muzykom z Bay Area słuszność w sporze o prawo do zarabiania na swojej własności, zasiane przez Napstera w głowach jego milionów użytkowników ziarno – przekonanie o „moralnym” prawie do niepłacenia duszgrozom z bezdusznych wytwórni muzycznych, wzmocnione nienawiścią do muzyków Metaliki (i im podobnych) wykreowanych przez proces z Napsterem na „skąpców”, „sknery” i „pazernych, gwiazdorzących milionerów” – zakiełkowało, dając początek modzie na niepłacenie za muzykę. Debiutujący niedługo potem pogrobowcy Napstera – YouTube i torrenty – dokonali dzieła zniszczenia dotychczasowego status-quo...

Dziś podstarzali chłopcy z Metaliki po raz kolejny dostają dowód, że w sporze z Napsterem to rzeczywiście oni mieli rację. Gorzka to jednak satysfakcja, bowiem to również oni po

raz kolejny stają się ofiarą przekonania społeczności fanów o prawie do bezpłatnego dostępu do muzyki. Osiemnaście milionów dolarów zainwestowane z kieszeni zespołu w przygotowanie i promocję ich spektakularnej, audiowizualnej produkcji – zrealizowanej z wielkim rozmachem i w technologii 3D hybrydy koncertu i fabularnego filmu „Through the Never” – nie tylko nie wygenerowało bowiem zakładanego przychodu, ale wręcz zmusiło zespół do wyruszenia w kolejną niekończącą się eskapadę po całym świecie (włącznie z krainą pingwinów!), celem pokrycia powstałej w budżecie zespołu dziury. Oczywiście nie brak w tym winy również samych muzyków – wszak promocja obrotu od początku nieco kulała. Wisząca na billboardach grafika nie do końca zdradzała, z czym przeciętny kinoman ma do czynienia (brak wyeksponowanej nazwy i zdjęcia zespołu na plakacie), a i specyficzny harmonogram seansów kinowych nie sprzyjał realizacji zamiaru ściągnięcia wszystkich fanów zespołu i miłośników dobrego, naszpikowanego efektami specjalnymi kina. Koniec końców można jednak domniemywać, że słabą frekwencją film zawdzięcza przede wszystkim założeniu fanów, że po co płacić za bilet, skoro lada moment film pojawi się za darmo do ściągnięcia z sieci. Trudno bowiem oczekiwać, że przeciętny słuchacz zespołu rockowego, przyzwyczajony, że nie kupuje płyt, tylko od dawna ściąga je z sieci albo słucha po wrzuceniu przez „życzliwych” na YouTube (co obrazuje spadek sprzedaży płyt zespołu Metallica z poziomu milionów egzemplarzy „czarnej płyty” do tysięcy sztuk ostatniego, kontrowersyjnego „Lulu”) nagle



wyda pieniądze na nietani przecież bilet do kina (a ten – przynajmniej w Polsce – kosztował rzeczywiście drożej niż najdroższy bilet na typowy seans 3D).

Trudno nie przyznać, że obecnemu stanowi rzeczy, to jest kiepskiej sprzedaży muzyki, winni poniekąd są też trochę sami muzycy. Wystawne życie i skandale z pierwszych stron gazet wpłynęły na sposób postrzegania

muzyka – w tym również rockowego – jako osoby o wysokim statusie materialnym, której od nadmiaru pieniędzy przewróciło się w głowie, a której budżetu z pewnością nie uszczupli kolejna, niewinnie pobrana z sieci płyta. Zwłaszcza, że w powszechnej opinii utarło się przekonanie, że ten leniwy darmozjad, „gwiazdor”, nie powinien objąć się po studiach nagraniowych, lecz – podobnie jak jego odbiorca – trochę się potrudzić i ruszyć zgnusiałe, nieskalane ciężką pracą ciało w teren. Tyle, że o ile taka Metallica bez trudu zapełnia dziś stadiony na tym samym poziomie, co Madonna, o tyle debiutujący zespół rockowy nie ma już tak lekko. Pół biedy, jeśli gra muzykę pozycjonowaną w okolicach tak zwanego „środką”, promowaną przez stacje radiowe – wówczas ze swoim hitem jednego sezonu może zawsze odkuć się na zabawie sylwestrowej transmitowanej przez TV, pohańturzyć w „Jaka to Melodia” albo zagrać na otwarciu centrum handlowego. Gorzej jeśli swą muzykę kieruje do bardziej hermetycznego, stricte rockowego grona odbiorców, gdzie frekwencja i stawki za bilety nie są szczególnie wysokie – przynajmniej nie na tyle, aby praca muzyka zawodowego pozwoliła przeżyć „do pierwszego”. I pomyśleć, że w dzisiejszych czasach, kiedy inwestycja w lepsze

brzmienie nagrywanej płyty po prostu się nie opłaca – bo ta i tak już w dniu premiery (a czasem nawet wcześniej) trafi za friko na YouTube, a jedynym gwarantem stałego dopływu gotówki do kieszeni rockmana są regularne występy na żywo, nie miałyby szansy powstania płyty pokroju „Innuendo” Queen czy „trójki” Alice in Chains, które jeszcze dwie dekady temu osiągały status platynowych, przynosząc grupom zyski z tantem, pomimo całkowitego braku koncertowej aktywności zespołów.

Póki więc jeszcze nie jest za późno, to jest dopóki gatunek muzyka rockowego nie zniknie zupełnie z powierzchni Ziemi, spróbujmy uszanować naszego szarpidruta, chuchając na niego ile sił w płucach i inwestując w jego kolejne albumy, które – jak Bóg da – będą słuchane również przez nasze dzieci, wnuki i prawnuki, zapewniając tym samym muzykowi stały dopływ tantem na poczet przyszłej, spokojnej emerytury. W przeciwnym wypadku nasz biedny rockman z pewnością się zbiesi, zgoli włosy i w poszukiwaniu łatwego zarobku pójdzie rozmieniać się na drobne w jakimś marnym talent-show. A to i tak nie jest najczarniejszy scenariusz. Gorzej, jeśli urażony muzyk odwiesi gitarę na kotek i postanowi się całkiem przebranżowić, wybierając jakiś nowy, egzotyczny, ale finansowo stabilny fach: zegarmistrza (jak Dan Spitz, ex-wioślarz Anthrax), pilota (Chris DeGarmo, ex-Queensrÿche) albo jakiegoś innego, beztroskiego hodowcy dyń (vide pamiętny Jim „Burza Włosów” Martin z Faith No More). Wówczas nam – złaknionym słodkich dźwięków gitary słuchaczom, którym od nadmiaru YouTube’owo-torrentowego, „darmowego” kontentu chyba już kompletnie się w głowach poprzewracało – pozostaną już niestety tylko leciwe, zgrane hity ze „stareńkiej” srebrnej płyty...

Dołącz do nas na Facebooku!

The screenshot shows the Facebook profile of 'Old. Obraz i Dźwięk'. The profile picture is a collage of media-related terms: AUDIO, VIDEO, FOTOGRAFIA, WYSTAWY, FILM, FELIETONY, KANAL, WIARSZTAT, MONITORY, PROJEKTORY, and OBRAZ. The cover photo features the magazine's logo and the text 'Old. Obraz i Dźwięk Media, informacje, publikacje'. The page statistics show 390 likes and 500 posts. Recent posts include:

- A post about the 'VIVA! PHOTO AWARDS 2014' photography contest, organized by Edipresse Polska S.A., with a deadline of August 28, 2014.
- A post about a contest for 'Anielta 111' with a deadline of August 28, 2014.
- A post about the Samsung Galaxy Tab S tablet, mentioning a presentation at a cinema.

www.facebook.com/magazynoid

Nowy magazyn dla miłośników komiksu

SUPERHERO 

MAGAZYN

4,99 zł
wydanie
bezpłatne

ISSN 2391-4505
1/2014
superhero.com.pl



BIAŁY ORZEŁ
WOJNA DOMOWA
DEADPOOL VS CARNAGE
WOLVERINE: LOGAN
REAL HEROES
X-MEN: PRZESZŁOŚĆ, KTÓRA NADEJDZIE
KMIÓLEK 14.

MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW KOMIKSU

A. KMIÓLEK, S. CHENG © 2014. WIZUALNE

dostępny online

superhero.com.pl